



Japonia. — Porada lekarska; podług fotografii.

Szpital dla trędowatych w Gotembie.

List X. P. Vigroux miss. apost. w Japonii.

Tokio, dnia 15 czerwca 1893 r.

Ze względu na troskliwość i szczerę współczucie okazane przez wiele litościwych osób dla trędowatych w Japonii, pragnę dać naszym dobroczyńcom obecny stan zakładu, w którym ci nieszczęśliwi znajdują schronienie i opiekę.

1. *Ilość i stan trędowatych w Gotembie.* — W roku ubiegłym szpital nasz mieścił w swych murach 50 chorych, dzisiaj zaś cyfra ich doszła już do 75. W tej liczbie znajduje się 60 mężczyzn i 15 kobiet, z wyjątkiem zaś 2 dziewczynek, liczących od lat 7 do 10, wszyscy nasi chorzy zostali zrekrutowani z osób dorosłych. Wraz z osobami należącymi do administracji, cały personal szpitalny składa się obecnie z 90 ludzi.

Niektórzy trędowaci są okropnie zeszpeceni i nie mogą posługiwać się wcale rękami lub nogami, czterech ociemniało, kilku zaś innym lada dzień grozi toż samo. Wogóle rzecz można, że trąd nadzwyczaj szybkie

robi postępy. W ostatnich czasach pewna kobieta musiała się zgodzić na amputację nogi, do której zakradła się gangrena.

Wprawdzie niektórzy chorzy po długiej kuracyi uczuwają pewną ulgę, a nawet dwóch trędowatych wyzdrowiało prawie zupełnie i opuściło szpital, ale niestety są to nader rzadkie wyjątki, wogóle zaś okropna choroba zwykle coraz większe przybiera rozmiary. W przeciągu kilku miesięcy fizyognomia tych nieszczęśliwych, a przynajmniej większej ich części, zmienia się do niepoznania.

Dziesięcioletnia dziewczynka, znajdująca się obecnie w naszym zakładzie, miała poprzednio twarz zupełnie zdrową, ręce tylko i nogi zostały dotknięte trądem. Teraz, niestety, cała twarz już spuchła, oraz pokryła się czerwonymi plamkami, które wkrótce zamienią się w rany. W ostatnich dniach matka przyszła ją odwiedzić. Okropny był widok tej kobiety, która daleko bardziej jeszcze od córki wydawała się smutną i przygnębiającą.

A jednak jakąż rezygnacją odznaczają się drodzy nasi trędowaci! Wielu z nich w samym kwiecie wieku musi cierpieć i umierać, lecz bądź cobądź cierpią bez skargi i umierają spokojnie.

Przed kilkoma miesiącami pewna kobieta oddawna już niewidoma, otrzymała ostatnie Sakramenta święte i czując się bliską śmierci, cieszyła się niezmiernie, że już pożegna się z tym światem. »Pójdę do nieba — rzekła — co za szczęście!« Wszyscy zaś inni chorzy zazdrościli jej losu.

2. *Przyjmowanie trędowatych do szpitala.* — Od chwili skreślenia ostatniego sprawozdania dnia 30 czerwca roku ubiegłego, ilość naszych chorych zwiększyła się o $\frac{1}{3}$, tak, że obecnie, jakeśmy to już widzieli, dość pokazać się przedstawia. Przybywają oni do nas z całej okolicy, najwięcej jednak tych nieszczęśliwych dostarcza nam Kusatsu.

Jestto wieś leżąca na szczycie góry o 50 mil od stolicy. U podnóża skały tryska obfite źródło wody siarczanej o nader wysokiej temperaturze i toczy dalej mętne swe fale w głębi długiego wąwozu. Opodal płynie kilka innych pomniejszych strumieni wpadających do rzeki siarczanej. Natychmiast po odkryciu gorącego źródła, znaleźli się przedsiębiorcy, którzy nabyli tam grunta, zbudowali hotele i założyli łaźienki. Cały ten zakład kąpielowy ciągnie się nad brzegiem rzeki, tworząc dość sporą i zamożną wioskę. Jestto właśnie Kusatsu.

W zimie łaźienki są zwykle próżne, w lecie zaś nawiedza je stale od 2000 do 3000 kuracuszów. Są to po większej części ludzie dotknięci rozmaitemi chorobami i kalectwami, pomiędzy zaś nimi znajduje się corocznie od 80 do 100 trędowatych. Niedgdyś cały zakład kąpielowy stał dla nich otworem, dziś jednak wolno im używać kąpeli tylko w łaźienkach, zbudowanych na samym końcu wioski. Mieszkają tam oni w nędznych chałupkach, skleconych na prędcie również przez trędowatych, którzy każąc towarzyszom niedoli płacić sobie za mieszkanie, wynagradzają w ten sposób koszt na własną łożoną kurację. Jak widzimy, nawet pomiędzy tymi nieszczęśliwymi nie braknie spekulantów. Goście ich zwykle pozostają w Kusatsu dopóty, dopóki mają czem płacić za żywność i mieszkanie, po wyczerpaniu zaś niewielkich swych funduszy, muszą niezwłocznie się oddalić, gdyż żaden mieszkaniec Kusatsu nie pozwoli im wstąpić na próg swego domu. Na ich miejsce przybywają nowi, aby z kolei ustąpić miejsca innym.

Wielu nieszczęśliwych z wielkim żalem opuszcza Kusatsu, ponieważ dłuższe lub krótsze używanie miejscowych kąpeli sprowadza pewną ulgę w okropnej ich chorobie.

Z początku wprawdzie stan zdrowia biedaków znacznie się pogarsza, trąd bowiem występuje w całej szpetności. Zepsuta krew wydobywa się na zewnątrz wszystkimi porami, rany się zaogniają i stają wstrętnymi, ogromne zaś czerwone bąble napełnione cuchnącą cieczą, pokrywają całe ciało. Wówczas choremu robią

się okłady z *moxy* i czerwone bąble stopiowo czernieją, pod wpływem zaś kąpeli organizm zaczyna się oczyszczać z zepsutych soków. Atoli widok takiego chorego, czarnego jak węgiel, jest okropny.

Wprawdzie najdłuższa nawet kuracja nie zdoła radykalnie wyleczyć trędowatego, ale przynajmniej przez czas pewien chory może się cieszyć względnie zadawalniającym stanem zdrowia.

Byłem już parę razy w Kusatsu. Za pierwszym razem jedenastu trędowatych dowiedziawszy się o mojem przybyciu, zgłosiło się do mnie niezwłocznie z prośbą o przyjęcie do naszego szpitala w Gotembie. Nie mogłem jednak natychmiast spełnić ich życzenia, gdyż w takim razie cała gromada chorych, nie mających przytułku, udałaby się do naszego zakładu, któryby ich z pewnością nie zdołał pomieścić. Musiałem więc poprzestać na wynajęciu domu w Kusatsu i umieszczeniu tam katechisty, któryby uczył osoby, pragnące poznać zasady świętej naszej wiary. Od tego też czasu codziennie około dwudziestu trędowatych uczęszcza na lekcje katechizmu.

Podczas ostatniej mej wycieczki do Kusatsu udzieliłem Chrztu świętego czterem biednym chorym, sześciastu zaś innych, przygotowanych już do tego Sakramentu i oczekujących z upragnieniem chwili, w której zostaną ochrzczeni, nie mogło z powodu braku środków materyalnych doczekać się przybycia misjonarza i musiało rozpocząć znowu dawne koczownicze życie o żebranym chlebie.

Przed odejściem z Kusatsu pewien trędowaty odezwał się do katechisty:

— Zabieram ze sobą katechizm i książkę do na-bożeństwa, aby się wyuczyć na pamięć od początku do końca wszystkiego, co się w nich zawiera. Czy mogę mieć nadzieję, że wówczas misjonarz zechce mnie ochrzcić? — dodał zalewając się łzami.

Powyższe opowiadanie nader przygnębiające wywarło na mnie wrażenie. — Co począć? — Po długim namyśle poleciłem swemu katechiście dołożyć wszelkich możliwych starań w celu odszukania biednych katechumenów, tak bardzo godnych litości, aby ich wysłać niezwłocznie do Gotemby. Nadto kazałem mu przysyłać do nas odtąd wszystkich trędowatych, którzy nie mogąc opłacać w Kusatsu mieszkania i kosztów utrzymania, byłiby zmuszeni do żebrania o jałmużnę.

Wprawdzie szpital w Gotembie jest już zapełniony tak, że chcąc przyjąć nowych chorych, będziemy musieli znacznie go powiększyć, sądziłem jednak, że odmówienie przytułku biednym trędowatym, pragnącym tak szczerze zbawienia swych dusz, byłoby dowodem braku ufności w niewyczerpane miłosierdzie Boże.

Kilku tych nieszczęśliwych przybyło już do Gotemby. Odbyli uciążliwą i nader długą, bo przeszło sto milową podróż, lecz trudy te nie zniechęciły

ich wcale, gdyż w przeciwnym razie musieliby umrzeć z głodu, albo się utrzymywać kosztem publicznego miłosierdzia. Możemy więc być pewni ciągłego napływu trędowatych w Kusatsu do naszego szpitala; obyśmy tylko zawsze mogli ich przyjmować!

3. *Praca trędowatych.* — Trędowaci znajdujący się w pierwszym stadium swej choroby i mający zdrowe dotąd ręce, trudnią się bardzo chętnie pracą rozmaitego rodzaju.

Pomiędzy kobietami mamy kilka szwaczek, które szyją lub naprawiają odzież dla siebie samych, oraz dla innych chorych. Z drugiej strony niektórzy mężczyźni wyrabiają parasole, fajki z trzciny bambusowej, słomiane *zori* czyli sandały, jak również *kokeri*, to jest niewielkie deseczki do pokrywania dachów.

Nadto mamy w gronie naszych chorych paru cieśli, kamieniarzy, blacharzy i kowali.

Najmniej wreszcie zdolni do pracy w zakresie jakiegokolwiek rzemiosła, zamiatają sale, korytarze i dziedzińce, w celu utrzymania w całym szpitalu niezbędnego porządku i czystości, drudzy czuwają u ogniska, ogrzewającego łazienki, w których wszyscy chorzy codziennie się kąpią; niektórzy wreszcie przynoszą do szpitala ryż, kupiony przez nas w sąsiednich wioskach.

W danej chwili kilku z nich zajęło się hodowlą jedwabników, mamy bowiem kawał gruntu zasadzony drzewami morwowymi i sądzimy, że nie zawadzi zabrać się do pracy w tej gałęzi przemysłu, która w całym kraju na szeroką prowadzi się skalę.

Wprawdzie praca trędowatych pokrywa zaledwie małą część ogromnych wydatków, jakich wymaga utrzymanie szpitala, tembardziej, że pracują tylko osoby najmniej dotknięte trądem i to zaledwie przez kilka godzin dziennie.

Nie gardzimy jednak tym drobnym, niestety, środkiem zmniejszenia ofiar, jakie wspaniałomyślni dobroczyńcy dla nas ponoszą. Chorzy nasi umieją dobrze cenić te ofiary i pracują z niezwykłą gorliwością, pragnąc o ile możności przyczynić się własnym zarobkiem do zmniejszenia kosztów swego utrzymania.

4. *Wpływ moralny, wywierany przez szpital w Gotembie.* — Z początku szpital dla trędowatych nie budził zaufania w poganach, którzy sądzą, że założyciele jego własny zysk tylko mieli na względzie. Powoli jednak to uprzedzenie zaczęło zacierać się w umysłach, dziś zaś wszyscy wiedzą już dobrze, iż jedynym celem tego zakładu jest materialne i moralne dobro nieszczęśliwych trędowatych. Wszyscy też w całej okolicy zdają się już rozumieć, jak znaczne wydatki ponosimy corocznie na utrzymanie tylu chorych, oraz z jaką troskliwością i bezinteresownością ich pielęgnujemy.

Nietylko więc ludność sąsiednia, ale nawet mieszkańcy dalszych zakątków kraju liczne nam w tej mierze oddają pochwały.

Znam naprzykład pewnego rządowego lekarza, odynującego w jednym z największych szpitali w Tokio, który zwiedziwszy nasz zakład i przekonawszy się osobiście, ile litościwe osoby zdziałały dobrego dla trędowatych w Japonii, był niezmiernie zdumiony tak szlachetną wspaniałomyślnością i miłością bliźniego. Obiecał nawet odwiedzać bezpłatnie naszych chorych raz lub parę razy każdego miesiąca, a zarazem zażądał rozmaitych szczegółów, dotyczących naszego szpitala, mówiąc, że pragnie dać poznać jego działalność wszystkim mieszkańcom stolicy, aby zjednać dla niego ogólną sympatyę.

Możemy się więc spodziewać, że szpital dla trędowatych w Gotembie, prawdziwy

społeczeństwu przyniesie pożytek, a nawet przyczyni się do rozwoju ewangelizacji w Japonii, pozwala bowiem krajowcom powziąć należyte pojęcie o religii, która umie natchnąć takim współczuciem i litością dla nieszczęśliwych.

Kończąc niniejsze sprawozdanie, wyrażam serdeczne podziękowanie wspaniałomyślnym naszym dobroczyńcom, ich to bowiem niewyczerpanemu miłosierdziu zawdzięczamy założenie i rozwój tutejszego szpitala. Dzięki łaskawym jałmużnom od nich otrzymywanym, zakład nasz na coraz szerszą rozwija się skalę, wielu zaś nieszczęśliwych znajduje w nim schronienie, opiekę, pociechę i ośłodę okropnej swej niedoli.

Utrzymanie jednego trędowatego kosztuje 5 *jenów* miesięcznie, czyli 60 *jenów* (około 250 franków) rocznie.



Korea. — Obrazek z wiejskiego życia; podług korejskiego rysunku.

Każdy więc kto przesyła tę kwotę, umożliwia przyjęcie jednego chorego, sam zaś otrzymuje tytuł dobroczyńcy zakładu i jako taki bierze udział w modlitwach, oraz zasługach naszych nieszczęśliwych, którzy codziennie błagają Boga, aby wynagrodził stokrotnie wszystkie wyświadczone im dobrodziejstwa.

Modlitwa ta zresztą jest obowiązkiem wdzięczności, o którym z pewnością nigdy zapomnieć nie zdołamy.

List JE. X. Arcyb. W. M. Zaleskiego,

Delegata Apostolskiego w Indyach Wschodnich
do X. M. C. w Krakowie.

Kandy, dnia 10 października 1893 r.

Szanowny Ojcie!

Daruję mi Szanowny Ojciec, żem tak długo ociągał z odpowiedzią na Jego list ostatni, lecz często mi czasu nie starczy choć kilka słów nakreślić. Zwyczajnej pracy już tu mam nie mało, a teraz jeszcze przybyła mi nowa tak, że mi ledwo sił starczy.

Z rozkazu Ojca św. mieć będziemy tej zimy siedm Synodów prowincjonalnych w Indyach pod moją prezydencją: Bombaj, Agra, Kalkutta, Madras, Pondicherry, Verapoly, Kolombo. Muszę zatem przygotować materię. Wezwałem do pomocy O. Faseuille z waszego zakonu z Trichinopoly, to też z nim, z O. Benzigerem Karmelitą moim Sekretarzem i z Przełożonym Benedyktynów Kandyjskich, cały dzień pracujemy.

Dziś wieczorem zrobiłem sobie wakacje, więc mogę Ojcu udzielić wiadomości misyjnych indyjskich:

Przed tygodniem wróciłem z Trichinopoly, dokąd pojechałem na jubileusz O. Verdier z waszego zakonu, jednego z najznakomitszych misjonarzy w Indyach. Rad byłbym zrobić dla *Missyj katolickich* opis tej wycieczki, lecz czasu mi na to nie starczy.

W przejeździe przez Tutikoryn, parawerowie św. Franciszka Ksawerego wystąpili z adresem, w którym prosili: »w Imię Ojca i Syna i Ducha św.«, że bym u nich jeden dzień zabawił. Obiecałem im, że powracając, trzy dni z nimi w Tutikorynie przepędzę i prosiłem, żeby mi wszystkie swoje dzieci przynieśli dla udzielenia im błogosławieństwa. Radość ztąd była wielka, a kościół pełny wystrojonych dzieciaków.

Prace około seminaryum postępują ciągle. Kleryków mamy już dwudziestu sześciu. Za tydzień spodziewamy się dwóch profesorów z Belgii. Przysyłam Ojcu fotografię pierwszych seminarzystów z rektorem Ojcem Grosjean z waszego zakonu i pięciu młodymi Benedyktynami, którzy do seminaryum uczęszczają na kursa.

Zajmie też Ojca wiadomość, że Przewiel. Ojciec Generał przyjął nową misyję dla prowincyi Belgijskiej.

Missya ta ma się utworzyć na wyspie Cejlon i stanowić będzie dwie dyecezye: pierwsza dyecezya Galle zajmie całe wybrzeże południowe wyspy i ciągnie się ku środkowi aż o mil 10 angielskich od Kandy (16 klm.). Druga dyecezya Trincomaii zajmie prawie całe wschodnie wybrzeże wyspy i sięga także prawie jej środka. Czasowo oddaną będzie w administracyę biskupowi z Galle. Wielkie tu pole do pracy i stosunkowo łatwe, tak, że z pomocą Boską lat kilka można się spodziewać, staną tu nowe kwitnące chrześcijańskie gminy w miejscach, gdzie dzisiaj panuje pogaństwo.

Mam już u siebie Brewe erekcyi tych dwóch nowych dyecezyj, które wraz ze seminaryum staną się, mam nadzieję, jedną z najpiękniejszych misyj waszego zakonu. Około połowy listopada wyjeżdżam z Kandy na Synod do Bombaju...

† Władysław-Michał,
Arcybiskup Tebański, Delegat apost.

DALMACYA.

(Notatki z podróży w r. 1892).

I.

Na statku »Danubio«.

Trzykrotny sygnał dano z olbrzymiej metalowej tuby i nasz statek »Danubio« ruszył zwolna z tryesteńskiego portu. Już ustała wrzawa komendy i nawoływania majtków odrębną, przez nich tylko zrozumiałą okrętową gwarą.

Kto już urządził się w swej kajucie, wychodzi na pokład, aby nie stracić ani na chwilę prześlicznego widoku na port wspaniały, na wybrzeża Istrii i po drugiej stronie leżący raj ziemski, Miramare, dziś robiący wrażenie, jakby zeń wygnano Adama i Ewę, taka tam pustka, chociaż nic nie straciło z dawnej piękności. Nie grzech to jednak owego miramarskiego Adama wygnać z tego uroczego zakątka ziemi, lecz Kaina zbrodnia. Mimowoli przesuwają się w pamięci dzieje nieszczęśliwego cesarza Maksymiliana i może nieszczęśliwszej jeszcze od niego małżonki Klotyldy.

Pogrążony w zadumie, rzucam wzrok na bawiący oko widok urodzajnych wybrzeży u podnóża skalistych wzgórz — to na bielejące wsie i miasteczka, około których roi się od łodzi rybackich — to na mewy, nasze nieodstępne towarzyski, muskające białymi skrzydłami modre fale morza — to na rybki wyskakujące nad jego powierzchnię, jakby się i one chciały nacieszyć widokiem słonecznych promieni i zajrzeć ciekawie w zamknięty dla nich świat.

Tymczasem zbliża się do mnie kapitan okrętu i po zwykłych powitaniach pyta:

— A gdzież to jedzie Wasza Wielbność?

— Na razie do Zary — odpowiadam.

— Później może do Raguzy?

— Prawdopodobnie i tam się udam.

— Piękna to podróż, zapewne nie pierwszy raz ją książd odbywa?

— I owszem, po raz pierwszy przypatruję się waszym okolicom i chętnie pragnąłbym poznać własnymi oczyma to, o czem dotychczas dowiedziałem się tylko z książek.

— Bądź książd przekonany, że zupełnie inaczej jego się oczom przedstawi nasza ojczyzna, jak to mógł wyczytać w rozmaitych dziełach. Jedni tylko z wybrzeży znają Dalmacyę i nie mają pojęcia, co się w głębi kryje; inni patrzą przez takiej barwy okulary, jakie ich sympaty do Słowian, stąd tendencyjnie pisanych książek jest bardzo wiele; nie trzeba im wierzyć i dobrze książd robi, że chce się samemu naocznie przekonać.

— Jakież żywioł przeważa w Dalmacyi, słowiański czy włoski — pytałem dalej, sądząc mego Dalmatę.

— Jaki żywioł? Czyż można w Dalmacyi kogo innego szukać, jak Słowian? Przecież Włochów tu bardzo niewiele, może kilkanaście tysięcy, a oni chcą rej wodzić i kraj nasz zwłoszyć. My nie potrzebujemy tych najezdców i ciemniźcicieli słowiańskiego narodu! Dosić tu było ich panowania. Góry Dalmackie od strony Adryatyku dawniej lasem porośłe, tak jak są dziś jeszcze po drugiej strony Dynar, od strony Bośniackiej, teraz są nagie prawie zupełnie, a w braku lasów i ziemia wśród deszczy spłynęła, zostawiając glebę niezdatną pod uprawę. Wszystkie nasze drzewa poszły na owe wspaniałe floty rzeczypospolitej Weneckiej, gdy jeszcze nad światem panowała. Bogaciła się ona kosztem naszym, zakładała kolonie, swe rządy, lecz o Słowian nie dbała, wszystko było po włosku, jeszcze do niedawna dzieci nasze w ojcystym języku nawet nie umiały się modlić, choć tak dawno już jak »Serenisima«¹⁾ upadła. Raz skończyć się tu musi panowanie Włochów i dzięki Bogu już się kończy, chociaż wiele walki musimy staczać, my Serbowie, aby otrzymać to, co się nam należy.

Wyraz »my Serbowie« dziwnie brzmiał mi w uszach, nie zrozumiałem, co Serbowie mają robić w Dalmacyi. Więc z pewnem zadziwieniem pytam:

— Czy pan kapitan Serb?

— Naturalnie, że Serb, chociaż w Serbii nie jestem urodzony, lecz w Dalmacyi.

Odpowiedź powyższa była dla mnie jeszcze bardziej zagadkową; chciałem dalej pytać, lecz sygnał dany ze statku, że się zbliżamy do portu Rovigno, odwołał mego kapitana do zajęć jego urzędu.

Przysłuchiwał się naszej rozmowie, chociaż nie brał w niej udziału, młody człowiek inteligentnej twa-

rzy i dłuższy czas mię obserwował, jakby chciał zgadnąć kim być mogę.

Ponieważ na okrętach łatwiej jak gdzieindziej zawierają się znajomości, więc po odejściu kapitana zbliżył się do mnie, zaprezentował, jako akademik D. kończący studia prawnicze we Wiedniu, obecnie powraca do rodzinnego miasta Sebeniko. Po kilku zdaniach obojętnej treści zapytałem:

— Powiedz mi pan co tu robią Serbowie w Dalmacyi? Pan kapitan mieni się Serbem austriackim, z kądnąd słyszałem, że tu żywioł włoski panuje, inni znów zowią się tu Słowiano-Kroatami. Któż więc tu właściwie mieszka w Dalmacyi?

— To jest właśnie nieszczęście, że u nas niema jedności i zgody pod względem zapatrywań narodowych, lecz co głowa, to nowe jakieś plany polityczne. Wśród najrozmaitszych stronnictw, najważniejszymi są autonomiści, Kroaci, Serbowie i po za stronnictwami tak zwani »Sławianie«.

Stronnictwo autonomistów opiera się na autonomii Dalmacyi i cieszy się z tego, że ją nie połączono z Kroacją i Sławonią do utworzenia *Trojedna Kraljevina* (królestwa trzech państw). Dokładają oni starań, aby utrzymać w Dalmacyi język i cywilizację włoską, lecz co do sposobu nie wszyscy się zgadzają. Mniejsza część chciałaby w całości utrzymać język włoski i uważać Dalmacyę jako włoski kraj, większość tego stronnictwa uznając w Dalmacyi słowiańszczyznę, chciałaby utrzymać w pewnych tylko proporcjach cywilizację łacińską. Organem ich jest dziennik *Dalmata*.

Kroaci, stronnictwo najsilniejsze w całym kraju, pragnie rozniecić u swych ziomków poczucie narodowe słowiańskie. Może czasami posługuje się środkami zbyt radykalnymi, lecz sądzą niektórzy z nich, że inaczej nie możnaby złęgo usunąć. Obecnie stronnictwo to panuje nad sytuacją polityczną w Dalmacyi i prawie wszyscy deputowani do rady państwa z niego pochodzą. Niektórzy fanatycy z tego stronnictwa, niezadowoleni z odniesionych zdobyczy, pragnęliby język włoski wyrugować zupełnie z tego kraju. Większość jest pod tym względem dość umiarkowana i marzy o połączeniu Kroacji i Sławonii z Dalmacją pod jedno państwo »Trojedna Kraljevina«, widzą bowiem tylko pod tym warunkiem pomyślność południowo-słowiańskiego ludu nie tylko pod względem politycznym, ale także i ekonomicznym.

Najnowszem ze stronnictw, które dawniej pod nazwą »stronnictwa narodowego« łączyło się z Kroatami, są obecnie »Serbowie«. Marzenia ich daleko sięgają. Wychodząc z zasady, że język używany w Dalmacyi jest z małemi zmianami tensam, co w Kroacji, Sławonii, Bośni i Hercegowinie, w Bułgaryi, Serbii i Czarnogórze, pragnęliby połączenia wszystkich tych narodów w jedno południowo-słowiańskie państwo.

¹⁾ Serenissimą nazywano powszechnie Rp. Wenecką.

Podczas gdy stronnictwo Kroatów jest katolickie, Serbów jest wyłącznie »greko-orientalne«. Różnica wyznaniowa w obydwu może doprowadzić do walki religijnej z wielką szkodą całego kraju.

Po za stronnictwami, o których mówiłem, są jeszcze wielkie masy ludu dalmatyńskiego, które nie bawiąc się w żadne partyjne zapatrywania, nazywają się Sławianami i swój język raczej sławiańskim zowią, jak kroackim lub serbskim.

— Do jakiegoż pan należysz stronnictwa, jeśli wolno zapytać?

— Naturalnie że do kroackiego.

— A dlaczegoż pan uczęszczasz na uniwersytet wiedeński, a nie np. w Zagrzebiu?

— Przecież nam nie wolno w Zagrzebiu w naszym rodowitym języku się kształcić, jeśli chcemy jakąkolwiek zająć posadę rządową. W tem właśnie leży nasze nieszczęście. Do niedawna musieliśmy się uczyć w szkołach po włosku, w domu mówiło się po kroacku, na uniwersytet musimy jeździć do Gracu lub Wiednia i tam uczyć się po niemiecku. Trzema językami musimy się kształcić, co zupełnie nie sprzyja naukom.

— Przecież nowa generacja będzie pod tym względem szczęśliwszą, bo język wykładowy w gimnazyjach macie już w waszym ojczystym języku.

— Niestety, jeszcze w Zarze gimnazyum jest włoskie i doprawdy nie wiem, dlaczego nie zaprowadzą tam kroackiego języka. Naszym pragnieniom dopóty nie stanie się zadość, dopokąd we wszystkich szkołach nie będziemy mieli języka wykładowego kroackiego, on powinien być na uniwersytecie, w rządzie i administracji państwowej. Ciekawy jestem dlaczego wy Polacy macie być wyszczególnieni i mieć wszystko po polsku, podczas gdy my jesteśmy upośledzani na każdym kroku!

Na te żale patryoty kroackiego odparłem:

— Przecież trudno, ażeby dla półmilionowej ludności dalmatyńskiej tworzyć osobny uniwersytet.

— To też my pragniemy właśnie złączenia z Kroacją i Sławonią, boć pocóż mają nas dzielić sztuczne granice prowincjonalne, skoro my z nimi jeden naród tworzymy. Wówczas dla nas nie potrzeba będzie innego uniwersytetu, jak zagrzebski.

Coraz bardziej gorącą rozmowę przerwał sygnał naszego statku. Wjeżdżaliśmy właśnie w sławny port »Pola«. Malowniczy widok, lecz nieco tu za zbrojno. Dokoła fortece w skałach i ziemi ukryte, tylko otwory spiszowych armat, jak oczy bazyliuszka zwrócone ku morzu, dają nam poznać, co się tam kryć musi.

Wspaniały arsenał, zamknięty dla przechodniów, ma całe szeregi najrozmaitszych statków pancernych, wejście dość wąskie. Obok w morzu, na palach jakaś budowla do kolosalnych rozmiarów pustej stodoły podobna, tam się odbywają ćwiczenia marynarki wojkowej. »Danubio« ostrożnie w port wjechał, jakby się

obawiał zawadzić o jakie torpedy, których tu niezawodnie wielka ilość znajduje się pod powierzchnią morza.

Niebawem dzwonek dał znak do obiadu, zjawia się służący i prosi do stołu.

Zwyczajem okrętowym, kapitan pierwsze miejsce zajął. Wskazał mi miejsce obok siebie, naprzeciw usiadł mężczyzna średniego wieku, poważnej, nawet imponującej postawy. Obok niego siadł chłopczyzna 10-letni. Był to jakiś Kroat, majętny kupiec tryesteński ze synkiem. Z rozmowy przekonałem się, że odwozi go do Konstantynopola do konwiktu Ojców naszego zakonu.

— Pragnąłbym synowi dać chleb w rękę, a bez znajomości języków w mym zawodzie trudno. Potrzeba aby się jeszcze wyuczył po turecku, arabsku i po grecku, także, aby nabrał biegłości w języku francuskim.

— Czy nie lepiej byłoby — pytam — aby się uczył innych europejskich języków?

— Te już posiada, mówi dobrze po niemiecku, włosku, angielsku i rosyjsku.

Kilka osób rozmaitej narodowości przysłuchując się naszej rozmowie, brały na egzamin chłopca i każdy w innym języku pytał, na co tenże skromnie odpowiadał w języku, jakim był zapytany, tylko rzucał spojrzeniem na surowego ojca, jakby chciał w jego twarzy wyczytać, czy mu pozwala mówić z osobami, których nie zna. Małeńki poliglotta wszystkim imponował, był bohaterem chwili.

Pomimo, że na okręcie wcale się nie nudziłem, bo i widoki były wspaniałe i nowe dla mnie, i rozmowa bardzo mię interesowała o stosunkach obecnych w Dalmacyi, przecież dziwnej radości doznałem, gdy z pokładu dostałem się znowu na tę matkę ziemię i czułem, że tajemnicze dno morza nie jest pod memi stopami. Błąkałem się chwil kilka po wązkich ulicach Poli, zupełnie przypominających północno-włoskie miasteczka, zaglądnąłem do starego małego kościółka, lecz nieubłagany sygnał »Danubia« rozległ się w powietrzu i wezwał do powrotu. Jakżeż chciałoby się raczej koleją przybyć do Zary, niestety innej drogi niema, tylko końmi lub okrętem. Zdało mi się, że stolica Dalmacyi jakby była odcięta od cywilizowanego świata, skoro tylko w patryarchalny sposób można się tam dostać. Jedni twierdzą, że nie budowano kolei z tej prostej przyczyny, żeby nie było konkurencji z małemi statkami, kursującemi bezustannie po Adryatyku, których właściciele i tak już podupadli wskutek dwu wielkich towarzystw żeglugi parowej Lloyda i Węgiersko-Kroackiego. Drudzy mówią złośliwie, że rząd austriacki umyślnie przeszkadza połączeniu siecią kolejową Zary z Kroacją, aby przeszkodzić żywszym stosunkom mieszkańców obydwu prowincyj.

Jakakolwiek zresztą jest przyczyna, koniec końców, chcesz jechać do Dalmacyi, musisz sięść na okręt

i ewentualnie narazić się na wszystkie niebezpieczeństwa lub przykrości morskiej żeglugi. Szczęście, jeżeli Adryatyk olśniony blaskiem promieni słonecznych i okręt po nim sunie, jak po lustrze odbijającym w sobie cały błękit nieba. Lecz gdy ołowiane chmury nad nim zawisną, a straszliwy borea zaryczy od północnego wschodu, wówczas to morze tak strasznie wygląda, tak niebezpieczne, że cała flota kryje się w przystaniach, okręty zarzucają wszystkie kotwice, przymocowują go linami do brzegu, bo nikt się nie odważy wypłynąć na morze, kryjące w swem łonie tyle skał i pasm gór podwodnych, których szczyty zaledwie dają się spostrzegać na jego powierzchni. Widziałem po ulicach Tryestu i innych miastach nadbrzeżnych słupy kamienne podobne do tych, jakie otaczają kościół Maryacki w Krakowie. Do nich przymocowują liny silne dla bezpieczeństwa przechodniów, ci się ich trzymają jak poręczy, aby nie upaść lub nie być zmiecionym jak pióro, gdy borea zacznie się srożyć.

Szczęściem borey nie było, ledwie słaby powiew wiatru dał się uczuć od strony północnej. Majtkowie rozciągnęli żagle, aby oszczędzić na sile pary, nasz »Danubio« szybko pomknął dalej w stronę południową. Niebawem wiatr stawał się silniejszym, morze poczęło huczeć straszliwie; niebezpieczeństwa wprawdzie nie było, lecz dla przeczności zdjęto czempredziej żagle — odezwał się głos komendy kapitana, bo wypadło przebyć jeden z najbardziej niebezpiecznych pasm morskich »Quarnero«, który przy najpogodniejszym nawet niebie, zawsze jest w ruchu wskutek dwu prądów, jakie się ze sobą zderzają między cyplem Istrii a wyspą Cherso.

»Danubio« począł swój taniec morski, miarowy, prawie wszyscy pasażerowie zniknęli z pokładu, kryjąc się w kajutach, aby rozmyślać nad słabością natury ludzkiej, wobec szalejącego morskiego żywiołu.

* * *

Jakaż jest przeszłość kraju, którego stolicę niebawem zobaczymy?

Dzieje Dalmacyi przedstawiają jedną z najciekawszych kart w historii. Tyle tu ludów ze sobą się ścierało, zakładało kolonie i znowu były wypierane przez inne narody, pragnące zdobyć malutki pas ziemi, a jednak tak ponętny, dla szczęśliwego swego położenia.

Z zabytków jakie po dziś dzień pozostały, dowiadujemy się, że po czasach przedhistorycznych, pełnych legend i epizodów nader ciekawych, nastąpiła epoka grecko-illiryska, trwająca do pierwszego wieku przed Chrystusem; po niej nastąpiła rzymska od I wieku przed Chrystusem aż do upadku zachodnio-rzymskiego cesarstwa (476 po Chrystusie), ta ustąpiła miejsca epoce sławiańsko-bizantyńskiej, trwającej mniej więcej do r. 1103, po niej panowali tu Węgrzy od 1103 do 1420, Wene-
cjanie od 1420 do 1797, Francuzi i Austriacy od 1797

do 1814 r., wreszcie od tego czasu do chwili obecnej, należą do składu państw monarchii austriackiej.

W pierwszej z historycznych epok przesuwają się przez dzisiejszą Dalmację najrozmaitsze ludy słowiańskiego lub greckiego pochodzenia: Wendowie, Karnowie, Gepidowie, Liburnowie, Pelazgowie i t. p., na wyspach i całym prawie wybrzeżu zamieszkali Grecy, gdzie indziej Fenicyanie.

Mieszkańcy południowej dzisiejszej Dalmacyi, to jest od Skardony aż po Cattaro (Kotar), bezustannie toczyli walki z kolonistami greckimi. Najbardziej ostry charakter przybrały za panowania tamże króla Agrona i jego żony Teuty (240 — 220 przed Chr.). Podczas tych wojen osady greckie zwróciły się o pomoc do Rzymian. Ci odtąd baczną uwagę zwracają na Dalmację. Już około r. 221 półwysp Istrijski staje się prowincją rzymską, bliscy im Illirijczycy zachowują jednak jeszcze swoją niepodległość. Niebawem flota rzymska napawa trwogą wszystkich mieszkańców tego wybrzeża; około r. 180 powstaje związek jedenastu miast dalmackich, celem obrony przed nieprzyjacielem.

Niestety, już w r. 159 Rzymianie zdobywają i burzą Delminium, stolicę Dalmacyi. Zwycięzeni, w Salonie zakładają siedzisko swego rządu, lecz oblężeni muszą uleść przemocy. W r. 59 przed Chrystusem, Cesarz zostaje zamianowany prokonsulem Illirii. Nowa prowincja rzymska zostaje rozdzieloną na górne, średnie i dolne *Illiricum*. Górne nazywało się *Dalmatia interna* albo *Illiris barbara* dla odróżnienia od Dalmacyi właściwej, leżącej nad morzem, a zwanej *Dalmatia maritima*.

Po przyłączeniu całej Illirii do cesarstwa rzymskiego, Oktawian August uczynił Dalmację prowincją senatorską, t. j. pozbawioną wojskowej załogi. Wkrótce jednak niepokoje wywołane przez tamtejszą ludność, zniewoliły cesarza do wysłania zamiast prokonsula wojkowego legata, który zamieszkał w Salonie.

W dziesiątym roku ery chrześcijańskiej, już i inne państwa sąsiednie z Dalmacją, jak Pańnonia, Dacya i Recya, stają się koloniami rzymskimi — w Dalmacyi już zupełny porządek panuje i spokój.

To też gdy św. Tytus, a jak wielu twierdzi, bardzo prawdopodobnie i św. Piotr, począł głosić Chrystusa w tym kraju, wiele było nawróceń a już w pierwszych wiekach Chrześcijaństwa, biskup Salony wybitnie zajmuje stanowisko w dziejach Kościoła.

Za czasów Dyoklecjana cesarza, wielu członków jego rodziny przyjmuje »nową religię«, a jego krewny Kajus zasiada na stolicy Piotrowej. Dalmacya dostarcza także kilku rzymskich władców, jak Klaudiusza, Marka Aureliusza, Probusa, a wreszcie sławnego syna Dyoklei, który swe świetne pod wielu względami panowanie znieślawił prześladowaniem chrześcijan, aż wreszcie wyrzekł się cesarskiej purpury i skrył w swym kolosalnym pałacu w pobliżu Salony, w dzisiejszem Spalato.

Podczas wędrówki ludów, dzieje Dalmacyi złączone dotąd ściśle z historią Rzymu, zaczynają się odosabniać i inne przybierać cechy. Równiny naddunajskie stają się widownią najazdów rozmaitych barbarzyńców. Wkrótce i Dalmacyę napadają Goci, burzą Epidaur (dzisiejszą Raguzę czyli Dubrownik), następnie Hunnowie, niszczyciele Tryestu, a wreszcie Herulowie oblegający Salone około r. 480 po Chrystusie.

Cesarz Teodoryk usiłuje podźwignąć Dalmacyę z upadku, zakłada kilka biskupstw i wznosi prześliczną świątynię w Parenzo. Wkrótce potem napadają na Dalmacyę Awarowie pod wodzą okrutnego Bojana. Mord i pożoga cały ten kraj zamieniły w zgłiszcza i cmentarz. Wówczas cesarz wschodni Herakliusz (610—641) wzywa na pustoszone brzegi Sawy i Adryatyku, Serbów i inne ludy słowiańskie z północnego Wschodu, mianowicie Chorwatów, które zaciętą walkę toczą z Awarami aż do VIII wieku, w którym pobici ostatecznie r. 795 przez Karola Wielkiego, stopniowo znikają z widowni Dalmacyi, a ich miejsce zajmują Słowianie.

Cała ta epoka od upadku państwa rzymskiego aż do najazdu Słowian z pod Karpat i od Wschodu, dotychczas bardzo jest ciemną w dziejach tego kraju i oczekuje na obszerniejszą pracę historyczną. Pewną jest rzeczą, że po najeździe Chorwatów, Dalmacya coraz bardziej staje się niezależną od wschodniego cesarstwa rzymskiego i przybiera czysto słowiański charakter. Z drugiej strony Chorwaci utrzymują nader ożywione stosunki z Zachodem i ulegają przez czas niejaki berłu Karola Wielkiego.

W r. 799 wielki żupan Zwonimir ogłasza się władcą Chorwatów z Bożej łaski. Od tego czasu Chorwaci aż do r. 1102 mają 18 swych książąt i królów¹⁾.

¹⁾ Oto ich lista: Trpimir, Ksešimir I, Mirosław, Pribunja, Domagoj, Domagoja synowie około r. 877, Sedesław, Branimir,

Tymczasem Wenecyanie, którzy już oddawna starali się o zdobycie wybrzeży dalmackich, biorą pod swą opiekę nadmorskie miasta, zagrożone napadami małej Neretwiańskiej Rzeczypospolitej i odtąd doża wenecki przywłaszcza sobie tytuł dalmackiego księcia. Daje to powód do długiej wojny między Chorwatami a Wenecją, którą kończy król chorwacki Piotr Kreszymir.

Po krótkich rządach Slaviša (1074—1075) jego następcą Dymitr Zwonimir, każe się namaścić na króla w imieniu Papieża Grzegorza VII w bazylice św. Piotra w Spalato. Przysięga on Ojcu św. wierność i posłuszeństwo, a zarazem przyrzeka roczną daninę 100 dukatów.

Po Tomisławie panowanie tego króla jest jedną z najpiękniejszych kart z dziejów Chorwacyi i Dalmacyi. Dotychczas jeszcze przechował się w pamięci ludu, który w swych pieśniach wielbi w nim dobrego i sprawiedliwego monarchę. Jego następcą Stefan II umiera r. 1099 bezpotomnie i zamyka za sobą dynastję Držislawiszów, a z nią i szereg królów narodowości słowiańskiej.

Krótkie bezkrólewie oddziela tę epokę od połączenia Dalmacyi z Węgrami, gdy r. 1103 Chorwatowie wezwali na tron króla Kolomana.

Prawie cały okres węgierski zapełniają wojny toczone między Węgrami, cesarstwem Bizantyńskim i kwi-

tnącą już wtedy Rzeczpospolitą Wenecką.

W r. 1429 po raz pierwszy w Dalmacyi ukazują się Turcy, a po podboju Bośni i Serbii w r. 1462 ich napady na dalmackie grody stają się coraz częstsze.

Panowanie Węgrów nad Dalmacyą nie trwa długo

Mutimir, Tomisław Wielki, Krešimir II, Držislaw 990—1000, Swetosław (zabity przez Chorwatów), Krešimir III 1000—1035, Stjepan I (Stefan) 1035—1050, Piotr Krešimir IV Wielki 1050—1074, Slaviša 1074—1075, Dymitr Zvonimir 1075—1087, Stjepan II 1087—1099, Bezkrólewie od r. 1099—1102, poczem Koloman węgierski.



Tunetania. — Majętna matrona z Gafsy; podług fotografii.
(Zob. str. 41).

i rozciąga się tylko do pewnej części kraju. Jednocześnie Wenecyanie coraz dalej na wybrzeżach rozpościerają swoje zagony. Już przy końcu X wieku, doża Piotr Orseolo II zdobywa większą część dalmackiej ziemi, a między innemi wszystkie wyspy, jakie do neretwiańskich należały korsarzy. Następnie Wenecya nietylko że nic nie traci z zajętych stanowisk, ale nadto zdobywa niemal wszystkie miasta z wyjątkiem Raguzy.

Panowanie Wenecyi nie jest pomyślnem dla tej słowiańskiej krainy, albowiem tylko wyzyskuje a nie rządzi, wzbogaca się sama a uboży kraje od siebie zależne. Niszczy naprzykład kopalnie soli w Istrii, które współzawodniczą ze solą morską sprzedawaną przez Rzeczpospolitą; wycina lasy na wybrzeżach i wyspach Dalmackich, tak, że z dawnych olbrzymich borów pozostały zaledwie tu i owdzie karłowate drzewa i krzaki. Zabiera nawet marmur ze starożytnych pomników, jak n. p. schody z amfiteatru w Poli i kolumny ze Salony; usuwa krajowców od urzędów i nie pozwala zawierać małżeństw pomiędzy ludnością włoską a słowiańską¹⁾. Wówczas gdy literatura słowiańska kwitnie w niepodległej Raguzie, w innych częściach Dalmacyi rzeczpospolita wenecka tamuje oświatę. Jednakże Dalmaci mając do wyboru jarzmo tureckie, lub uległość Wenecyanom, woleli rządy tych ostatnich, chociaż zbyt często były niesprawiedliwe.

Podczas panowania Wenecyan, Dalmacya zostaje podzieloną na trzy części: *il vecchio acquisto*, *il nuovo acquisto*, *in nuovissimo acquisto*, z których każda osobną posiadała administrację.

Pierwsza z tych części »stara zdobycz« Wenecyi, obejmowała wszystkie wyspy i miasta nadmorskie: Zareg, Nowigrod, Salonę i Kliszę. Terrytoryum *il nuovo acquisto*, czyli »nowa zdobycz« przypadła w udziale Wenecyi po pokoju karłowickim r. 1699 i obejmowała w całości lub częściowo powiaty miast: Trau, Sebenika, Darniszu, Kninu, Sinji, Spalatu, Skardony, Makaraski i okolice Narenty czyli Neretwy.

Najpóźniejszą zdobycz *il nuovissimo acquisto*, zdobyła Wenecya po traktacie pożarewackim roku 1718, a obejmowała miasto Imoski i jego okolice. Tak więc Dalmacya wenecka rozciągała się od wyspy Cherso i zatoki Kwarnerskiej, aż do ujścia Neretwy.

Pod względem administracyjnym trzy odrębne posiadłości weneckie znacznie się od siebie różniły. Mieszkańcy terrytoryum *il vecchio acquisto*, zachowali wszystkie swe prawa i zwyczaje, a nawet byli w części wolnymi od podatków, podczas gdy *il nuovo* i *nuovissimo acquisto* musiały je opłacać i ulegać władzy weneckich urzędników.

Cała Dalmacya pozostawała pod kierunkiem tak zwanego *Provveditore generale* czyli wielkorządcy, mieszkającego w Zarze. Wielkorządca, którego urząd zwykle trwał przez trzy lata, wyznaczał ze swego ramienia dowódców wojskowych (*conti capitani*) i naczelników cywilnych (*sopra intendenti*), którzy pochodzili również ze szlachty weneckiej i nie byli wcale odpowiedzialnymi za swe postęпки — często i występki.

Jedyną warstwą odpowiedzialnych urzędników w podbitym kraju byli kanclerze (*cancelieri*). Dochody każdego powiatu spoczywały w ręku kamerlenga, który je odsyłał głównemu kamerlengowi weneckiej rzeczypospolitej. W ogólności ludność sławiańska w Dalmacyi była traktowaną przez Wenecyan jako *gens barbara*; dziś jeszcze Włosi z pewną pogardą lub politowaniem o nich wspominają, jak o kimś znacznie niższym od siebie.

Panowanie Wenecyi nad Dalmacyą trwało aż do roku 1797, t. j. do chwili upadku Rzeczypospolitej św. Marka. Na mocy traktatu zawartego w *Campoformio*, cesarz austriacki otrzymuje Dalmacyę, wcale jednak nie spieszy z objęciem jej w posiadanie.

Tymczasem Wenecya widząc grożące sobie zewsząd niebezpieczeństwo, sprowadza z Dalmacyi 13.000 krajowców po większej części z gór Morlachów i uzbraja ich w oręż swego arsenału. Wkrótce jednak na posiedzeniu dnia 12 maja 1797 wielka rada wenecka musi się wyrzec władzy nad Dalmacyą na rzecz Francyi. Zwycięskie wojska francuskie wkraczają do stolicy dożów, a oddziały dalmackie zostają odesłane do kraju. Tam Andrzej Quirini, ówczesny *provveditore generale*, zdziwiony tak niespodziewanym powrotem żołnierzy do Zary i Spalato, każe im złożyć broń w arsenalach i rozjeść się do domów. Wzburzenie umysłów jest jednak tak silne wśród wojska, że powstają rozmaite zamieszki i rozruchy, którym zbyt nieliczna załoga miejscowa nie może położyć tamy.

Wkrótce potem Francuzi wysyłają swoich komisarzy do Dalmacyi, ci zaś ogłaszają nowy okres równości i swobody. Nie zdobywają jednak sympatyi dla swego mocarstwa.

W całym tym sławiańskim kraju, z wyjątkiem Raguzy, nie było wówczas ani jednej drukarni zaopatrzonej w czcionki łacińskie, ponieważ zazdrośny rząd wenecki pragnąc, aby wszystkie utwory Dalmatyńców drukowano w Wenecyi, zabronił stanowczo użycia ich w Dalmacyi. Komisarze francuscy przywożą ze sobą wszystkie niezbędne narzędzia do drukowania proklamacyi, jednak za przybyciem na miejsce spostrzegają ogólne rozjątrenie umysłów i po kilku niefortunnych próbach w celu pozyskania sympatyi krajowców dla francuskiego rządu, wracają do Wenecyi.

Chociaż wielka część Sławian dalmackich pomimo nadużyć weneckich, już się przyzwyczaiła do nich

¹⁾ Zob. *Fasti di Zara religioso politico civili...* Dal Carlo Federico Cav. Bianchi pag. 34, Zara, 1888.

i pragnęłaby nadal zachować z tym rządem przyjazne stosunki, jednak znaczna większość ludności widząc upadek Rzeczypospolitej, nosiła się z myślą połączenia z królestwem Kroacji. To też 84 parafij dalmackich zgłosiło się ze swem pragnieniem do ówczesnego przełożonego OO. Bernardynów (Minori Osservanti), prowincyi SS. Redemptoris O. Paskala Sekula. Ten bacząc na dobro swego kraju i pragnąc zadośćuczynić żądanom ludności, nad którą OO. Bernardyni mieli pieczę pasterską w powyższych 84 parafiach, skreślił list do O. Andrzeja Dorotica z poleceniem, aby się zajął tą sprawą i przyczynił do oddania Dalmatów w ręce austriackiego cesarza, do którego wówczas należało także królestwo Kroacji.

O. Dorotić wydał bezimienną proklamację do narodu, w której odwołując się do uczuć patriotycznych i religijnych Dalmatów, oświadcza, że rząd francuski jest obecnie żydowski i jakobiński, na którym zupełnie polegać nie można, z drugiej strony ciemnizy ciemniaka Wenecya upadła, więc nie pozostaje jak wrócić do dawnych rządów sławiańskich, t. j. epoki kroacko-węgierskiej w Dalmacyi¹⁾. Proklamacja ta chociaż w najlepszej intencji wydana, wywołuje wręcz przeciwny skutek, niż się spodziewano.

Po pokoju, jakim oddawna cieszyły się dalmackie miasta, następuje przerażająca anarchia. Nienawiść pomiędzy szlachtą a ludem, Włochami a Słowianami budzi się z całą gwałtownością. Ponieważ miasta nie posiadały załogi, grabieże więc i morderstwo były na porządku dziennym. Pióro wzdyga się od opisu scen, jakie się podówczas w Dalmacyi działy²⁾.

Wówczas duchowieństwo, szlachta, kupcy i rzemieślnicy możniejsi zbroją się i łączą ze sobą w celu przywrócenia porządku. Najpierwszym owocem ich jednogodnych usiłowań jest ustanowienie tymczasowego rządu w Spalato i Trau. Następnie obywatele szukają sobie opiekuna i jednogłośnie zwracają się do Austrii. Spalato wyśleła pięciu deputowanych do cesarza Franciszka II dla złożenia mu hołdu wierności i posłuszeństwa w imieniu wszystkich mieszkańców. Z drugiej strony Andrzej Quirini *provveditore generale* Zary, błaga o pomoc namiestnika austriackiego w Kroacji.

W lipcu 1797 r. wyrusza z Tryestu na 72 okrętach 4000 wojska austriackiego pod naczelnem dowództwem generała Macieja barona Rukawiny.

W Zarze doznają radosnego przyjęcia ze strony ludności, z okrzykiem »niech żyje cesarz«, przyjmują Dalmatyńcy okręty austriackie, wiozące załogę dla jej

miast, a generał pierwsze swe kroki na tej ziemi skierował do kościoła św. Symeona, aby razem z arcybiskupem Zary, Janem Carsana odśpiewać na podziękowanie Bogu *Te Deum laudamus*¹⁾. Z równą łatwością drugi generał austriacki Kasimir drogą lądową przez Benkowacz dostaje się i zajmuje Sebeniko, Trau (Trogir), Spalato, Sinje i Klisę; prawie z równą łatwością i inne miasta poddają się austriackiemu berłu.

Bonaparte zgadza się najzupełniej na ten pokojowy podbój Franciszka II i przyznaje monarchii Habsburgskiej całe illiryskie wybrzeże.

Administracya nowej prowincyi zostaje powierzona hr. Thurn. Roztropnie nie zmienia od razu dawnej niejednokrotnie wadliwej formy rządów i szkodliwych dla całości państwa przywilejów poszczególnych miast, zaprowadza tylko pewne ulepszenia, aby zapobiedz możliwym nadużyciom.

Zamiast *provveditore generale* rezydującego w Zarze, ustanawia radę złożoną z kilku członków, dawnych zaś urzędników weneckich osadzonych w rozmaitych miastach, zastępuje innymi urzędnikami. Co zaś najważniejsze, ustanawia sądownictwo do rozstrzygania spraw, dzięki czemu wymiar sprawiedliwości przestaje być zależnym od zachcianki lub kaprysu jednego człowieka.

Wszystkie te reformy przyczyniają się do polepszenia stosunków w Dalmacyi i dlatego też krajowcy walczą mężnie w obronie Austrii, podczas dwu wojen toczonych przez nią z Francją.

Dopiero po sławnem zwycięztwie pod Austerlitz (2 grudnia) 1805 r., na mocy traktatu w Preszburgu, sztandary austriackie muszą ustąpić miejsca orłom Napoleonowskiemu. Cała Dalmacya oraz Rzeczpospolita Raguska, dotychczas jeszcze nie podległa, staje się własnością Francyi, pomimo powstania Czarnogórców, oraz nieprzyjacielskich flot, angielskiej i rosyjskiej.

Generał wojsk francuskich Marmont z całą energią buduje drogi, stawia lub ulepsza twierdze, zakłada szkoły i łudzi się marzeniem, iż przygotowuje dla Dalmacyi nową erę cywilizacyi i szczęścia. Złudzenie to jednak nie trwa długo.

Po zwycięztwach Napoleona nad wojskami austriackimi w r. 1809, cała Dalmacya z Rzeczpospolitą Raguską i Kotarską, zostaje wcielona do nowo utworzonego królestwa illiryskiego.

W Zarze, Raguzie i Kotarze (Cattaro), mieszkają prefekci (intendenci) przysłani z Lublany. Generał Marmont został księciem Raguzy i naczelnikiem tego państwa. Skoro jednak Napoleon mianował go marszałkiem wojsk francuskich i odwołał do Francyi, a następnie do Hiszpanii, stosunki zmieniły się na korzyść Austrii.

¹⁾ Zob. »Ungarn und Dalmatien«, artykuł p. Kronesa w *Neue Freie Presse* z r. 1885 n. n. 7651—7652; *Il Dalmata* z r. 1886 n. 36, 37, 38.

²⁾ Ktoby z czytelników chciał obszerniejsze znaleźć z tego czasu wiadomości, niech zobaczy Prof. Tulusza Ebbera *Storia della Dalmazia*. P. I, str. 27 i nast. Zara, 1886.

¹⁾ Zob. T. Ebber, l. c., str. 53.

Na kongresie wiedeńskim 1815 r. Austria odzyskuje Istrię i Dalmacyę. Odtąd administracya tych krajów staje się podobną, jak w innych prowincjach tego państwa.

Do roku 1848, wielkorządca Dalmacyi był jej zwierzchnikiem cywilnym i wojskowym. Od r. 1848 do 1852 gubernator dalmacki występuje tylko jako namiestnik (*luogotenente*) bana Kroacyi, Sławonii i Dalmacyi.

Teraz jak wiadomo, dawne wróciły stosunki, a dalmacki *luogotenente* cesarza, jednoczy w swem ręku władzę cywilną i wojskową.

* * *

Z bijącym sercem wyszedłem na pokład, aby się napatrzeć zdala cudnej okolicy tak zwanych »kanałów«, to jest wąskich przesmyków morskich, między stałym lądem a większemi lub mniejszemi wyspami.



Tunetania. — Zbiór daktyli w El-Hamma około Gabesu; podług fotografii. (Zob. str. 42).

Począwszy od Cherso i Lussin-piccolo, zkąd pochodzą najslawniejsi marynarze, spotykamy Selwe, Ulbo, Isto, Pontadurę, Meladę, wreszcie długą wyspę Uliano, przeciwległą Zarze, a między nimi całe grupy wysepek i skoliów, z których jedne skaliste, jak szkielety przedpotopowych olbrzymów, drugie mniej lub więcej urodzajne, pokryte zielenią, a wśród niej wznoszą się drzewa migdałowe, aloesy, figi, oliwki, granaty i inne południowej strefy.

Wszystko to oblane jasnymi promieniami słońca, pod baldachimem ciemno-błękitnego nieba, na tle modrego morza, którego drobne fale w tem oświetleniu wyglądają jak srebrzysta łuska pancerza — tak silnie

oddziaływa na fantazyę, że się wydaje, jakby to inny daleki świat jakiś przesuwał się przed naszymi oczyma, a nie kraj nam bliski, słowiański, Dalmacya.

Ani się spostrzegam, że już jesteśmy tak blisko Zary, i że to kilkanaście godzin minęło mi na pokładzie, wśród tych zawsze pięknych i zawsze nowych obrazów, jakie się wyłaniały z toni morskich Adryatyku.

X. Marcin Czermiński.

(C. d. n.).

Z Kartaginy do Sahary,

przez X. M. Bauron'a.

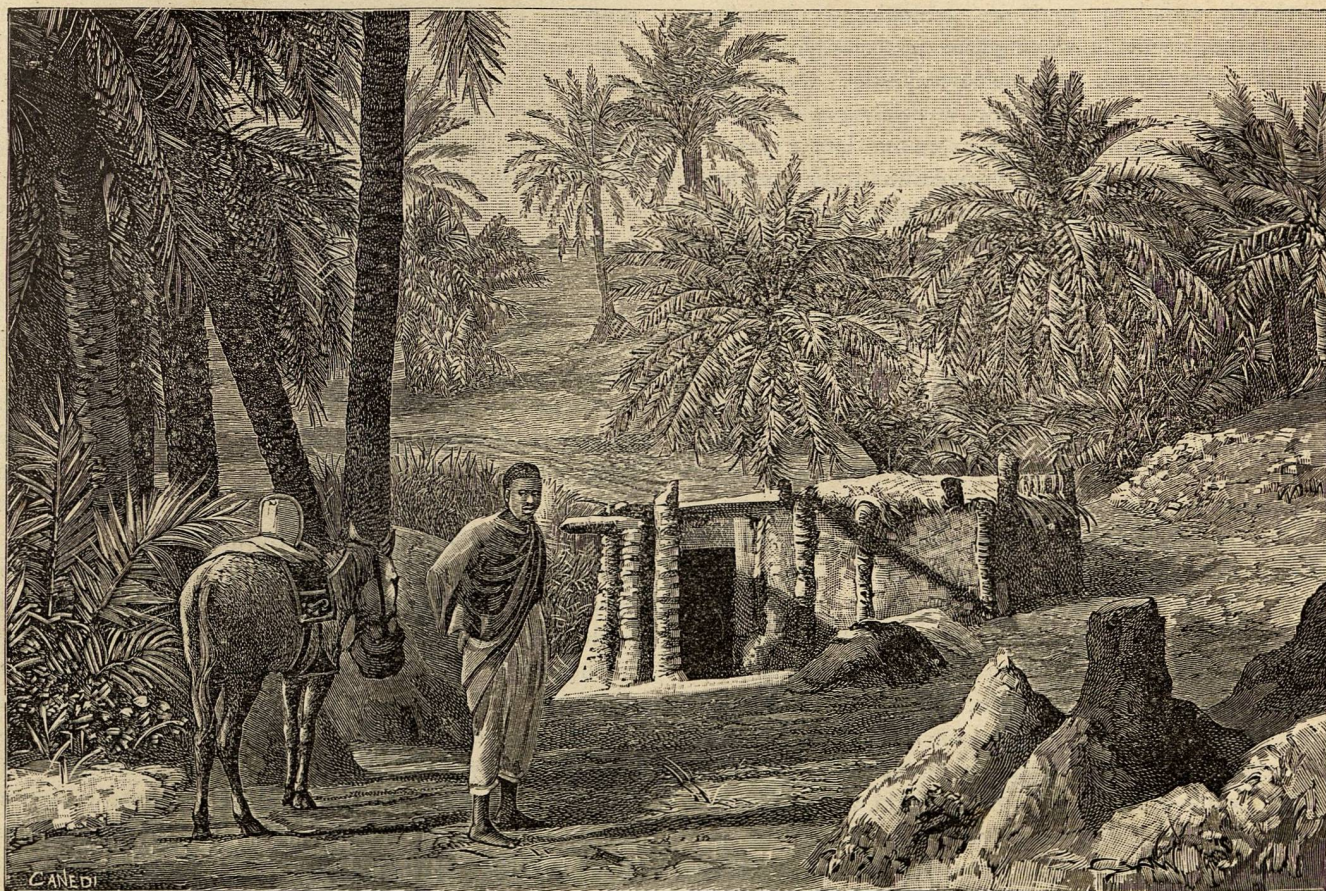
(Ciąg dalszy).

III.

Dzisiejsza ludność miasta Gafsy jest daleko pracowitszą i zapobiegliwszą od koczowników lub wieśniaków. Kobiety wyrabiają burnusy, dywany i prześclice

kołdry, odznaczające się zarówno pięknnością deseni i harmonią barw, jak wybornym gatunkiem i trwałością materiału.

Załączona rycina na str. 37, przedstawia gafsąską matronę, ustrojoną w klejnoty, łańcuchy, naszyjniki, cekiny z wizerunkiem Maryi Teresy i prześliczny pas miejscowego wyrobu. Przędzie ona wełnę za pomocą malutkiego wrzeciona z kości słoniowej, uczesanie zaś jej głowy przypomina swym kształtem egip-



Tunetania. — Przewodnik Mohamed przy studni w oazie El-Hamma; podług fotografii. (Zob. str. 47).

skiego sfinksa. Piękny jej *haik*, czyli spódnica ozdobiona złotymi gwiazdkami i blaszkami, oraz czarny płaszcz osztyt czerwonym szlakiem, odbijają malowniczo od tak zwanego białego *peplum*, spadającego niedbale na ramiona. Wielce ciekawem byłoby porównanie ubiorów, używanych obecnie, z kostiumami, w jakie historycy i poeci przyoblekają bohaterki starożytności. Z porównania tego bowiem przekonano by się ze zdziwieniem, iż nic prawie w tej mierze się nie zmieniło.

Pomiędzy południową częścią miasta, a murami twierdzy, rozciąga się piękna oaza gafsąska, mająca 6 kilometrów długości. Pewnego razu z moim towarzyszem p. Hébrardem puściłem się wąską ścieżką z ubitej

gliny, wznoszącą się o kilka metrów po nad powierzchnię gruntu i muszę wyznać, iż ta przechadzka w cieniu wyniosłych palm należy do najpiękniejszych wspomnień z afrykańskiej mej odysei.

Widziana z góry oaza, wygląda jak wielka czarna plama na tle białych piaszczystych obszarów. Zresztą położenie Gafsy przypomina nieco położenie Damaszku w Palestynie, stanowiąc jakby jego kopia, zdjętą w miniaturze. Jak miasto, tak też oazę przerzyna mnóstwo strumieni, na rozmaitej leżących wysokości. Stosownie do ich położenia zmienia się też temperatura. Tak na przykład, w Gafsie, zbudowanej na wysokości 345 metrów po nad poziomem morza, termometr wskazuje

w rzece 35°, a w El Hamma, wzniesionej zaledwie o 40 metrów nad morzem, temperatura źródeł dochodzi do 50° a nawet 60° Cels. Wysokość jej więc zostaje w prostym stosunku do odległości od wewnętrznego ogniska w łonie ziemskiej skorupy.

Prawdopodobnie wszystkie źródła łączą się ze sobą, stanowiąc jakby klapę bezpieczeństwa, wypuszczającą zbyteczną parę, którą gorąco w niezmiernym ziemskim kotle nieustannie produkuje. Już w starożytności uczony Strabon dostrzegł podziemne te rzeki, o istnieniu których świadczą rozmaite geologiczne zjawiska. Jak wiadomo, ciśnienie wewnętrzne jest olbrzymiem.

Tak naprzykład, studnie artezyjskie, wykopane w El Udref, w pobliżu Gabesu, wydzielają po 10.000 litrów wody na minutę. Przed czterema laty z jednej z tych studzien wybuchła prawdziwa trąba wodna z przerażającym łoskotem i w przeciągu trzech minut pokryła sąsiednie obszary mnóstwem odłamów gipsu i innych minerałów. Nadto wody te są nadzwyczaj przezroczyste, gdyż piaski przez które przesiekają, aby wypłynąć na powierzchnię gruntu, spełniają względem nich rolę naturalnego filtru.

W gafańskie oazie najmniejszy kawałek ziemi zostaje zużytkowanym pod uprawę jarzyn, jak naprzykład rzodkwi, marchwi, sałaty i rozmaitych roślin pastewnych, wyższe zaś części gruntu zajmują łany pszenicy i lucerny, gdy tymczasem niższe jaśnieją zielenią palm daktylowych, potrzebujących wilgoci.

Łatwo się domyśleć, że europejskie drzewa do nadzwyczajnych dochodzą tu rozmiarów. Tak naprzykład, drzewo morelowe dosięga 12 metrów wysokości, pień zaś jego 3 metrów obwodu. Grusze, jabłonie, figi, śliwy, banany, brzoskwinie, drzewa migdałowe, pomarańczowe i cytrynowe, wyglądają również daleko okazalej od swych braci w Europie. Oliwki zasadzone na krawędzi oazy, wydają przewyborne owoce, latorośl zaś winna rozwija się cudownie, oplatając palmy swojemi zwojami, lub zwieszając z nich grona na 80 centymetrów długie, a ważące przeciętnie 5 kilogramów.

Łatwo się domyśleć, że i rozmaite gatunki palm nic pod względem swego wzrostu nie pozostawiają do życzenia. Korzeń ich nurza się w wodzie, wierzchołek w promieniach palącego słońca, śliczna zaś łodyga ugina się wdzięcznie pod najłżejszym powiewem wiatru. Co do koloru ich liści, to przechodzi on prawdziwą gamę odcieni od ciemno-zielonego do żółtego, pomarańczowego, granatowego i jasno-czerwonego. Drzewa te żyją przeciętnie po lat 100 i więcej, należąc niezaprzeczenie do najużyteczniejszych poddanych roślinnego królestwa. Wszystkie ich części dadzą się zużytkować w najrozmaitszy sposób.

Pień zostaje użyty do budowy domów, jak również do wyrobu koszyków, kapeluszy, wachlarzy, kubków i t. p. przedmiotów. Z miękkiej tkanki palmowej

wyrabiają sznury, liny, lub wypychają nią materace i poduszki, z liści zaś maty lub dywany.

Gdy palma jaka z powodu starości przestanie wydawać owoce, wówczas pień pozbawiony wierzchołka, zostaje wydrążony, w otworze zaś tym zbiera się sok i wypływa przez niewielką rurkę, połączoną z glinianem lub skórzanem naczyniem. Płyn ten zwany *lagmi*, czyli winem palmowem, jest słodki, orzeźwiający i podobny do mleka. Po upływie 24 godzin zaczyna fermentować, pienić się i przybiera przyjemny smak kwasowaty. Ponieważ Koran nic o nim nie mówi, nieraz więc można napotkać krajowców, pozbawionych chwilowo przytomności, z powodu nadmiernego użycia tego trunku. Po nużącym pochodzie zaspakaja on pragnienie i ogrzewa żołądek, przywracając zarazem muskułom ich siłę i sprężystość. Palma w taki sposób urządzona, wydaje codziennie od marca do września 5 do 8 litrów *lagmi*. Po upływie tego okresu, otwór w pniu zostaje zatkanym, jeżeli zaś pomimo tego drzewo nie obumrze, to na wiosnę zaczyna znowu wydzielać swe soki. Trwa to niekiedy przez lat parę, ale oddziałuje szkodliwie na drzewo, które skutkiem tej manipulacji usycha.

Daktyle gafańskie, chociaż lepsze od rosnących na wybrzeżu, nie mogą jednak iść w porównanie z daktylami w Dżerydzie, Tozerze, Nefcie i El-Udianie. Dojrzeją one od września do stycznia, zbiór ich zaś niekiedy bardzo malowniczy przedstawia widok. Na samym wierzchołku palmy siedzi młodzieniec uzbrojony w nóż ogrodniczy i uciawszy całe grono, bierze je ostrożnie za łodygę, aby podać drugiemu Arabowi, siedzącemu trochę niżej; ten zaś podaje trzeciemu i tak z kolei aż do ziemi. Najlepsze daktyle zostają wywożone, gorsze zaś spożyte na miejscu. Prawdziwą ich ojczyzną jest Dżeryd, gdyby zaś z tej miejscowości przeprowadzono kolej do Gabesu przez Gafę, wówczas stałaby się ona najbogatszą kolonią w Afryce, a wywóz owoców z pewnością by się podwoił. (Zob. rycinę na str. 40).

Zresztą istnieje przeszło 100 gatunków palm i oko podróżnika w samej tylko Gafie coraz to nowe napotyka niespodzianki. Krajowcy nadają im rozmaite zabawne nazwy, jak n. p. węzowych oczu, rogów gazelli, zębów lub nozdrzy młodej mężatki, oślich uszu, jaj gołębic i t. p.

Wszyscy niemal mieszkańcy oazy dotknięci są chorobą oczu i wyglądają mizernie, a nawet nędznie. Podczas gorącej pory roku, gdy termometr dochodzi do 50°, mnóstwo ofiar pochłaniają tam febry, pobyt zaś dla Europejczyków staje się prawie niemożliwym. Wprawdzie główną tego przyczyną jest brak ochłodstwa u tubylców, którzy pomimo obfitości wody, nie zdają się być wielkimi zwolennikami porządku i czystości. Niektóre dzielnice miasta są niemal nieprzystępne z powodu odrażającej woni, na środku zaś ulic dzieci, a nawet dorośli, tarzają się w błocie i piasku.

Pomiędzy równiną ciągnącą się od obozu aż do wodospadu, a przeciwną oazą, piętrzy się kilka pagórków, z których najwyższy Džebel-Assalah, pokrywają zwaliska.

Pewnego razu wdrapałem się tam z p. Hébrard'em. Na górze tej, jak się zdaje, musiała wznosić się niegdyś starożytna forteca, dziś bowiem jeszcze istnieją ślady równoległych tarasów. Ze szczytu na 600 metrów wysokiego, wzrok obejmuje miasto, oazę i niezmierną, piaszczystą równinę, służącą jakby za ramy do tego obrazu. Na stokach, oraz w pewnego rodzaju wąwozie, czernieją liczne beduińskie namioty. Skorośmy się tam zbliżyli, sfera psów rzuciła się na nas ze wściekłością, kilkanaście zaś nagich prawie dzieci rozbiegło się na wszystkie strony. Wprzód jednak, niż zabraliśmy się do odwrotu, rzuciliśmy okiem na wewnętrzne urządzenie tego koczowniczego obozu.

Kilka kobiet przyrządza jadło, piekąc placki ryżowe na rozżarzonych węglach. Za łóżka służą maty, kilka zaś wielbłądów, koń, osioł, kilkanaście kur i kóz, stanowią całe mienie tych ludzi, którzy jednak zdają się być zupełnie zadowolonymi ze swego losu. Zresztą czyż namiot ich, który stosownie do potrzeby można zdjąć lub rozbić w przeciągu kilku minut, nie jest wybornym obrazem życia człowieka na ziemi i krótkiego przejścia od kolebki do grobu?

Miasto Gafsa, złożone z nędznych lepierek, wygląda zdala, jak ogromne kretowisko, przypominając nieco kupki piasku, usypywane przez dzieci. Domy te istotnie tak są nietrwałe, że przynajmniej kilka razy w przeciągu roku należy się brać do gruntownej ich naprawy.

Gdyśmy z p. Hébrard'em spuścili się powoli z Džebel-Assalahu, słońce właśnie zaczynało zniżać się ku zachodowi. Olbrzymia piaszczysta płaszczyna wyglądała jak roztopione złoto, a strome, poszarpane stoki Džebel-Orbata zdawały się płonąć w ognistej aureoli. Bliżej nieco wyłaniała się z pomiędzy palm majestatyczna warownia Kasba, oblana promieniami zachodzącego słońca, które czyniły ją podobną do jakiegoś zaczerpniętego pałacu. Za nami wreszcie góra rzucała cień coraz dłuższy, w którym się ukrył wąwóz z namiotami koczowników.

Po chwili jakiś szeik wychodzi ze swego namiotu, wita mnie uprzejmie, uspakaja psy i zawiązuje rozmowę, będącą prawdziwym makaronizmem francuskiego i arabskiego języka. Pomimo wynędzniałej postaci i więcej niż skromnego ubioru, wygląda on dość okazale, ruchy zaś jego i sposób obejścia odznaczają się dystynkcyją.

— Czy znasz porucznika Keck? — zapytuje mnie po chwili.

— To mój przyjaciel.

— Szala jego sprawiedliwości trzymała się zawsze w równowadze. Lubiliśmy go i żałujemy, że wyjechał.

Czy przyjechałeś tu w pięknej karecie — ciągnie dalej — aby zobaczyć Dżeryd? Czy w waszej ojczyźnie nie rosną palmy?

— Palm mamy bardzo mało, ale mamy za to wielkie rzeki, piękne miasta i żelazne wozy, ciągnięte parą, które biegną daleko szybciej od twoich koni i wielbłądów.

— Czy w twojej ojczyźnie mieszkają ludzie czarni?

— Nie, w Europie są tylko biali i mieszkają zaś w dużych domach murowanych, tak pięknych i trwałych, jak wasza Kasba.

— Z początku, kiedy wszyscy byliśmy braćmi, nie było wcale ludzi białych.

— Opowiedz mi tę historię.

Tymczasem żona szeika wychodzi z namiotu, podaje nam na miedzianej tacy dwie filiżanki kawy, żegna nas niskim ukłonem i odchodzi, nie mówiąc ani słowa. Sidi Abderrahman ben Mohamed przygląda się temu w milczeniu, prosi mnie o papieros, zapala go, wypija powoli parę łyków kawy i głosem poważnym, właściwym swemu stanowisku, rozpoczyna opowiadanie, uzupełniając je odpowiednimi gestami ręki, na której błyszczy dyament.

— Wszyscy ludzie naszego plemienia wiedzą o pochodzeniu trzech ras, które, które opowiadałem także panu Keck, aby je sobie zapisał. Na początku świata — oby Allah dał ci długie życie, kochany gościu! — otóż na początku świata wszyscy ludzie byli czarni, jak oczy gazelli, jak pióro kruka, jak ciemności nocy, jak dusza zdajcy i serce obłudnika.

Pewnego dnia Sem, Cham i Jafet, przechadzając się w lesie, natrafili na źródło, którego zimne, przezroczyste wody, płynące pomiędzy kwiecistymi brzegami, zdawały się tajemniczą prowadzić rozmowę. Nagle usłyszeli, jak źródło mówiło:

— Umiem wybielić to, co czarne i nadać wełnie miękkość jedwabiu.

— Kłamco! — zawołał Cham — jak śmiesz mówić coś podobnego?

— Wątpię, aby to, co mówisz, było prawdą — dorzucił Sem nieco łagodniej.

— Dlaczego nie wierzyć temu, co mówi woda, będąca istotnym obrazem prawdy? Co do mnie, to wierzę, przezroczyste źródło, w cudowną własność daną ci przez Stwórcę i niech Pan świata będzie z nami. — To mówiąc Jafet, zrzucił lekki ubiór z liści palmowych, który okrywał hebanowe jego ciało i z okrzykiem *Bismillah!* w Imię Boże! rzucił się w nurty strumienia.

Po chwili wody oblawszy go całego, złożyły łagodnie na miękkiej trawie, bracia zaś spostrzegli ze zdziwieniem, że skóra jego stała się białą jak mleko, włosy zaś miękkimi jak jedwab.

Widząc ten cud, Sem, który wątpił z początku, wskoczył również do strumienia. Ale woda cofając się

już się nieco zmaciła i zmięszała z żółtym piaskiem na brzegu, tak, że Sem oliwkową otrzymał cerę, włosy zaś jego pozostały tak twarde i szorstkie, jak lwia grzywa.

Dość jeszcze wody pozostało dla mnie, pomyślał Cham, i poszedł za przykładem braci, ale już strumień cofnął się zupełnie do swego łożyska, pozostawiając tyle tylko wody, ile jej było potrzeba na zwilżenie dłoni i pięt niedowiarka, który upadł na brzegu.

Oto dlaczego murzyni mają dłonie i pięty białe, resztę zaś skóry czarną, oraz kędzierzawe włosy.

Tu szejik zamilkł, dokończył papierosa i filiżanki kawy, a słuchając mych podziękowań, błędził po oazie dumnie, ale smutnie zarazem wejrzeniem. Wyciągnąłem doń rękę, którą szejik ucałował, poczem niezwłocznie z p. Hébrard'em podążyliśmy z powrotem do Gafsy.

Po za miastem powierzchność krajobrazu całkowicie się zmienia, znajdujemy się już bowiem u samych niemal wrót Sahary i Dżerydu. Ostatnia ta nazwa w ścisłym swem znaczeniu obejmuje całą ojczyznę palm, a zwłaszcza stosuje się do przylądka, dzielącego Szott-el-Dżeryd od Szott-el-Garsa. Szott oznacza wyschlę, słone jezioro, a Szott-el-Dżeryd stanowi olbrzymi basen, ciągnący się od Kri, Tozeur i Nefty aż do Kebilli i Duz, na przestrzeni, która ma 200 kilometrów długości, na 100 kilometrów szerokości.

Tam właśnie leżał cel dalszy naszej podróży, ale od celu tego wiele jeszcze przygód i epizodów nas dzieliło. Najprzód w całej Gafsie istnieją tylko dwa powozy, jeden bez kół, drugi zaś bez pudła, tak, że dopiero skombinowawszy składowe ich części, można utworzyć jakąś całość. Widząc dokoła mnóstwo Arabów, jadących konno, sądzimy, iż przynajmniej znalezienie koni żadnej nie przedstawia trudności, ale komendant kręci głową i radzi użyć w tym celu pośrednictwa *baszamara*. Jestto pewien rodzaj faktora, ułatwiającego porozumienie pomiędzy krajowcami a cudzoziemcami, naturalnie kosztem jednych i drugich. *Baszamar* gafskański imieniem Abdallah jest jakimś metysem arabsko-murzyńskim, który stanąwszy na progu, całuje nas w ręce oraz bije się w piersi, gdzie uderza serce pocziwego muzułmanina. Niestety, niebawem mieliśmy się przekonać o jego pocziwości.

— Czy możesz nam dostarczyć przewodnika z trzema końmi dla nas i muła pod nasze zapasy?

— Jak długo będzie trwała podróż?

— Sześć dni.

— Ile mil masz do przebycia?

— Ztąd do Tozeuru mamy 98 kilometrów, z Tozeuru do Nefty 25, z Nefty do El-Udiany 37, ztamtąd zaś wrócimy przez Tarfani, co wynosi razem 276 kilometrów.

— Czy chcesz mieć dobre konie?

— Zapewne.

— W takim razie radziłbym ci wziąć muły.

— I na to zgoda.

Umawiamy się o cenę, Abdallah zaś żąda podług zwyczaju połowy całej kwoty, jako zaliczki, zapewniając nas zarazem, iż przewodnik, którego nam przyśle, zna wybornie drogę, a nawet mówi po francusku.

Nazajutrz o godzinie 5 rano jesteśmy już na nogach, pan Hébrard czuwa nad fotograficznymi przyrządami, pan Dumont nabija pistolety, ja zaś ostatnich od kapitana zasięgam wskazówek.

Dopiero w parę godzin później przybywają nasze wierzchowce, chude jak szkielety, ale bez *baszamara*, który pod pozorem kolek nie chciał się pokazać. Na wszystkie zaś moje uwagi, dotyczące siodła i t. p. rzeczy, przewodnik odpowiada niezmiennie: »Bądź spokojny, jakoś to będzie«. Odjeżdżamy wreszcie. Na dwunastym kilometrze pan Hébrard oświadcza, że na takim wierzchowcu dalej jechać nie może, chcę mu więc ustąpić własnego, gdy nagle popręgi od mego siodła pękają, ja zaś prędej, niżby wypadało, znajduję się pod koniem. Co do pana Dumont'a, ten traci ostrogę i dopiero za pomocą noży, oraz grubszych i cieńszych sznurków, poprawiamy jako tako nieszczęśliwą uprzęż.

Jest to dopiero początek rozmaitych utrapień w nieszczęsnej tej wyprawie. Niebo przybiera barwę szarą, prawie czarną, tarcza słoneczna blednie, poczem zabarwia się na czerwono, widnokrąg się zaciemnia, dokoła nas tworzy się jakby groźne koło niewidzialnych nieprzyjaciół, a niewysłowiona trwoga ogarniać nas zaczyna. W przestrzeni rozchodzi się jakiś szmer głuchy, odległy, nieokreślony, najmniejszy wietrzyk nie porusza trawy i cała natura zdaje się oniemiać z przerażenia. Nagle zaczynają się wznosić coraz większe tumany piasku, które kręcąc się w kółko, tamują nam oddech.

— Rozpoczyna się *sirocco* — mówi przewodnik — teraz trzeba zjeść śniadanie, bo potem nie będzie można.

Zasiadamy więc na ziemi, aby się posilić, ale apetyt nam nie dopisuje. Nagle Mohamed puszcza trzęzle muła, który ciesząc się z odzyskanej swobody, zaczyna harcować, rozsypując po drodze swój obrok i nasze zapasy. Napróżno usiłujemy powstrzymać go od tych harców, gdyż okrzyki nasze i wołania, większego mu jeszcze dodają zapału.

Wówczas pan Dumont zniecierpliwiony temi niepowodzeniami, wyrzeka się Tozeuru, życzy nam dobrej drogi i wraca do Gafsy na swoje szczęście. Mówię na szczęście, gdyż dzięki otyłości i rozmaitym nawyknieniom, nie zdołałby znieść z pewnością wszystkich prób, jakie nas czekały. Ale niestety, chcąc dotrzeć do Gabesu, będzie musiał w przeciągu dni czterech trząść się w nędznej *arbie*. (Zob. rycinę na str. 45).

Gdzie się podziały wygodne doróżki, tramwaje i pospieszne pociągi? W ciągu tej podróży biedny pan Dumont wzdycha do nich nieraz, zastanawiając się nad

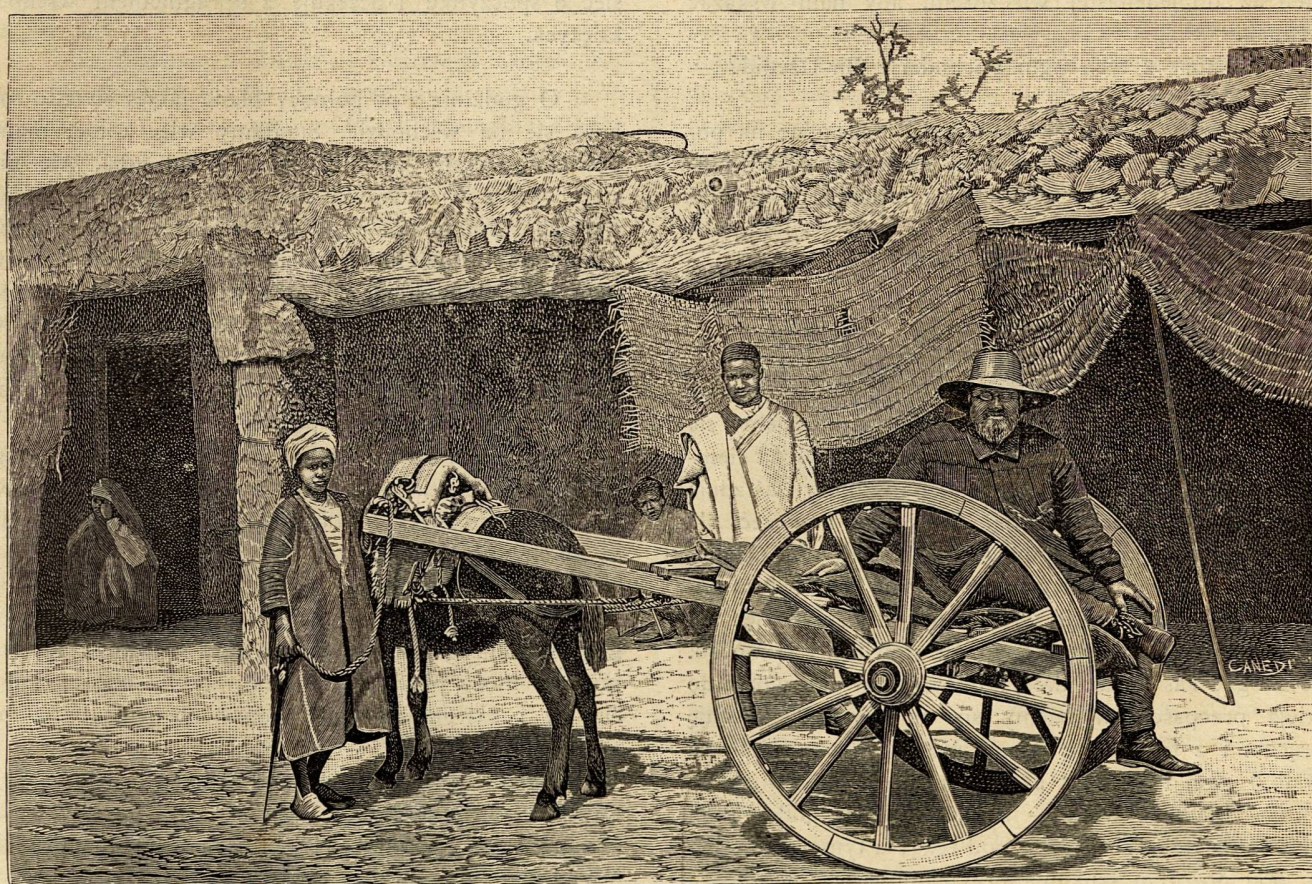
brakiem inteligencji w afrykańskich mózgowicach, niezdolnych jeszcze ocenić wszystkich dobrodziejstw europejskiej cywilizacji.

IV.

Odjazd p. Dumont'a i strata jęczmienia zmniejszyły nasze pakunki, nieposłusznego zaś muła odstępujemy dwom Arabom idącym pieszo do Gafsy, i uciechom niezmiernie, iż mogą resztę podróży odbyć na jego

grzbiecie. Co do mnie, to niestety, nie umiem sobie dać jeszcze rady z niegodziwym wierzchowcem, walka zaś z nim męczy mię daleko więcej od pieszej wędrówki. O *baszamarze*, czemuż nie jesteś tutaj? natarłbym ci uszu za te wszystkie nieprzyjemności.

Tymczasem *sirocco* coraz bardziej się zbliża, słońce staje się niewidzialnem, skwar poprostu dławi, piasek zaś rozdziera nam gardło i pali nozdrza. Wreszcie w Bordż-Gurbata huragan zatrzymuje nas w drodze.



Tunetania. — Powrót p. Dumonta z Gabesu na «bidzie» arabskiej. (Zob. str. 44).

Zostając co chwilę zasypiani kurzem, nie widzimy przed sobą nic więcej, oprócz uszu naszych wierzchowców, które instynktownie trzymają się razem. Drobnutkie kamyki siekają nam twarz, a nawet pomimo potrójnego welonu, zasłaniającego mi oczy, tłuką szkła w moich okularach.

Czytałem kiedyś, iż na tem samym miejscu, gdzie zaskoczyła nas burza, pewien oddział tunetańskiego wojska w r. 1857, nie mógł z powodu gwałtownego *sirocco* ruszyć się z miejsca w przeciągu 60 godzin, najsilniejsze zaś konie musiały przysiąść na tylnych nogach, aby się oprzeć powietrznemu prądowi.

Podług wskazówek komendanta Lefèbvre, mamy

przy 329 słupie telegraficznym zwrócić się na lewo, z kąd bez trudności dojedziemy do Bir-Dżedid, gdzie miał nas czekać porucznik z namiotem i zapasami żywności. Trzymamy się więc ściśle oznaczonego kierunku, gdy nagle przewodnik zaczyna krzyczeć, żeśmy zabłądzili. Proszę go grzecznie, aby wskazał nam drogę, ale przebiegły Arab trzyma się przezornie z tyłu, zarzucając nam ciągle zboczenie z drogi. Wreszcie słowa jego zachwiały nasze przekonanie i zamiast jechać dalej w obranym kierunku, zwracamy się stosownie do jego rady to na prawo, to na lewo. Powoli zapada noc, dookoła zaś nie widać ani śladu posterunku, do którego dążymy. Zaczynamy więc błądzić bez celu po stepie,

a wreszcie wyczerpawszy siły, zatrzymujemy się nad brzegiem jakiegoś wyschłego potoku. Była to godzina 9 wieczorem i chociaż *sirocco* ucił, ale na niebie ani jedna nie jaśniała gwiazdka. Pan Hébrard próbuje zjeść skrzydełko kurczęcia, ja nie mając apetytu, chcę pokrzepić się winem, ale trunek ten zdaje się palić mi gardło, podrażnione od piasku.

Nagle na południu, północy i zachodzie zabłyśły ogniki. Jeden z nich musiał pochodzić z obozu i jak się później dowiedziałem, porucznik kazał podsycać ogień aż do jedenastej wieczorem, aby nam wskazać kierunek.

— Który z tych ogni pochodzi z Bir-Dzedid? — zapytuje Mahomeda.

— Zapewne ten — odpowiada, wskazując na południe — a może ten — dodaje, zwracając się ku północy — albo wreszcie ten — ciągnie dalej, wskazując na zachód.

— Nie wiesz więc, gdzie jesteś?

— Owszem, wiem wybornie.

— No, to nas prowadź.

— W którą stronę?

Nie pozostaje więc nam nic innego do zrobienia, jak zbliżyć się do linii telegraficznej, od którejśmy się oddalili. W przeciągu pół godziny jedziemy wśród ciemności, ogniki na zachodzie gasną, na północy zaś zdają się zbliżać, a wreszcie znikają. Zaczynamy krzyczeć, ale żaden głos nam nie odpowiada, wreszcie dojeżdżamy do jakiegoś telegraficznego słupa i pan Hébrard za pomocą zapałki odczytuje cyfrę 402. Byliśmy więc na dobrej drodze i z winy Mohameda straciliśmy ją z oczu. Nie mogąc zaś jechać dalej z obawy, aby nie wpaść do jakiejsz przepaści, kładziemy się na ziemi. Ja dostaję gorączki i z trudnością mogę mówić, a pan Hébrard myśli o swej rodzinie i głośno myśli te wypowiada.

— Mam — woła — żonę, dzieci, wygodny dom i mnóstwo dobrych rzeczy pod ręką, a tymczasem dzisiaj pod pozorem szukania przyjemności leżę na piasku, bez żywności i wody. Co za szaleństwo! W naszym wieku nie wypada już przedsiębrać podobnych wycieczek!

— Jeżeli umrę — odpowiadam mu na to — to wykopie dół w piasku, aby uchronić me ciało od hyen i szakali, postawcie krzyżyk na mym grobie i nie troszczcie się wcale o przewiezienie zwłok mych do ojczyzny.

Potem następuje cisza i ogólne odrętwienie, konie nawet stoją koło nas, nie śmiejąc ruszyć się z miejsca.

Pod wpływem nocnego chłodu, wino, które mi poprzednio paliło podniebienie, wydaje się teraz orzeźwiający napojem i w bardzo miły sposób rozgrzewa moje członki. Tyle nam mówiono o skorpionach i żmijach, zwanych *najahami*, że mimowolnie bać się ich zaczynam. Nagle czuję na kolanach przesuwanie się

jakiegoś ślizkiego, zimnego ciała i przerażony zrywam się na równe nogi. Płaz uciekł, ale okropny dreszcz przebiegł mi od stóp do głowy, słyszałem bowiem, że ukąszenie *najaha* w przeciągu dziesięciu minut zabija.

Po chwili uczuwałem jakieś tajemne, głębokie wrażenie zadowolenia, jakim napełnia mię myśl, że jeszcze żyję. Skoczyłem tak szybko z miejsca, że nie mogłem chyba zostać ukąszonym. Wprawdzie życie, to tylko krótka chwila, a jednak jakże ta chwila jest nam drogą! Bądź co bądź nie mogę się uspokoić, ani myśleć o spoczynku i oczekuję z upragnieniem wschodu księżyca.

O godzinie 2 po północy blade jakieś światło rozlewa się na wschodzie. Siodłamy więc konie, mamy bowiem przeszło 50 kilometrów przed sobą. Ale niestety, nasze wierzchowce nie piły wody od 24 godzin i wloką się noga za nogą. O dziesiątej rano przyjeżdżamy do Bordż-Guifla, gdzie grunt jest tak nierównym, jak gdyby uległ jakiemuś wulkanicznemu wstrząśnieniu. Nie mile też uderza mię widok mnóstwa trupów, leżących na dolinie i ogołoconych z ciała przez dzikie zwierzęta; a więc to prawda, że się kończy tak nędźnie życie w pośród samotnej pustyni!

Pan Hébrard zsiada z konia, bierze go za cugle i niebawem znika mi z oczu, po kilku jednak chwilach wraca z zaczerwienioną twarzą i nogami zabłoconymi aż do kolan.

— Co się to panu stało?

— Ach, omal nie ugrzązłem na zawsze w bagnie, gdyż nagle zabrakło mi gruntu pod stopami i byłbym już tam może pozostał na wieki, gdyby nagłe cofnięcie się i szarpnięcie mego konia nie wydobyło mię z przepaści.

Należy wiedzieć, że znajdujemy się właśnie pomiędzy Szott-el-Dżeryd i Szott-el-Rarsa, gdzie całe karawany znikają nieraz bez śladu w niezgłębionem błocie. Wypadek ten czyni nas bardziej ostrożnymi, gdy musimy przebywać łożyska wyschłych rzek, dość często tu napotykanym. Nareszcie w oddali spostrzegamy karawanę pojącą trzodę, zwracamy się w tamtą stronę i znajdujemy źródło, ale niestety słone, z wodą białą jak mleko, której konie pić nie chcą. Ruszamy więc dalej i o czwartej po południu stajemy w oazie El-Hamma, którą jak zbawczą witamy przystań. Zewsząd dochodzi szmer strumieni, po większej części gorących i wydzielających siarkę, ale nie braknie też i wody zimnej, do której konie nasze spieszą co sił starczy. Co do nas, to nie prosząc o pozwolenie, spieszymy do rzymskiej kąpieli, opasanej palisadą z pni daktylowych i ocienionej palmami. Arabowie kąpiący się tam właśnie, uciekają, jak gdybyśmy mieli sprofanować wodę, ale ucieczka ich jest nam bardzo na rękę. Tymczasem szeik porozumiewając się z naszym przewodnikiem, przy-

nosi nam placki, jaja, świeżą wodę i jęczmień dla koni, za co sownie mu płacimy.

Cóż za nieopisana radość, móżdż po tylu przygodach posilić się i wypocząć w cieniu wysmukłej palmy. Nie dziw, że zdawało się nam wówczas, żeśmy się znowu na świat narodzili. Bądź błogosławioną, oazo El-Hamma, niech Bóg zawsze ci daje wodę, owoce i słońce! Na pamiątkę rozkosznej tej chwili, utrwalamy niezwłocznie za pomocą fotografii miejsce naszego wypoczynku wraz z przewodnikiem, któremu tyle niemiłych epizodów mieliśmy do zawdzięczenia. (Zob. rycinę na str. 41).

Oaza El-Hamma składa się z czterech wiosek, El-Areg, Nsaiba, Nahret i Nemlat, oraz zawiera około 2000 mieszkańców i 80.000 palm. Gorące mineralne źródła o temperaturze 39° Cels., stanowią tam naturalne bogactwo, którego nikt niestety nie umie wyzyskać.

Niezwłocznie po naszym przybyciu zaczynają się schodzić mieszkańcy oazy, aby nam się bliżej przypatrzyć i dowiedzieć się od naszego przewodnika, kim jesteśmy, zkąd jedziemy, pociosmy przybyli. Zresztą po większej części trzymają się od nas zdala, unikając wszelkiego zetknięcia się z podejrzanymi *rumi*, których przybycie stanowi prawdziwą epokę w dziejach samotnej oazy. Jednakże w chwili odjazdu kilku Arabów przyprowadza muły, konie i wielbłądy, aby nam towarzyszyć aż do Tozeuru. Odjeżdżamy prawie o zachodzie słońca i w przeciągu dwóch godzin przebywamy 12 kilometrów, poczem w oddali zarysowują się wierzchołki palm, minaret, oraz kopuła meczetu, składająca się z kolorowych kamyków, ułożonych w mozaikę. Ludzie, a raczej zwoje białego perkalu, poruszają się dokoła murów, nagle zaś dzieci igrają na piasku.

Lecz oto i mury z cegiełek czyli *tohu*, ułożonych w dziwaczne desenie. Niektóre domy zdają się wcale nie posiadać okien, w innych wszystkie okna opatrzone są gęstą kratą. Następnie przejeżdżamy przez plac zajęty przez karawany, w głębi którego wznosi się Darle-Bej, czyli rezydencya wice konsulat. Po chwili spahisowie biorą nasze konie pod swoją opiekę, a pan Henzi, wicekonsul francuski wita nas serdecznie w progach swego domu.

Pokoje dla nas przeznaczone mieszczą się na piętrze, czyli właściwie mówiąc, na dachu. Aby do nich się dostać, trzeba się wdrapać na taras, z którego widać całe miasto i kawał oazy. Ciemny korytarzyk prowadzi z dachu do naszych apartamentów, stół zaś, parę obozowych łóżek z wełnianymi kołdrami i dwie miednice, stanowią całe ich umeblowanie. O prześcieradle niema nawet mowy, należy tam ono bowiem do zbytkowych przedmiotów, ale nie śmiem się skarżyć, gdyż bądź cobądź, dzisiejszy nasz nocleg w porównaniu do wczorajszego na pustyni, jest prawdziwie królewskim.

Wieczorem ze szczytu tarasu przysłuchujemy się

muzyce i śpiewom Arabów, skulonych na progu sąsiedniej kawiarni. Jakaś uroczysta cisza i spokój zdaje się unosić nad całą oazą, z głębi zaś firmamentu wypływają gwiazdy, świecąc tak jaskrawym blaskiem, o jakim w Europie nie mają pojęcia.

Ponieważ jednak członki nasze domagają się gwałtownie wypoczynku, wracamy więc do swych apartamentów, a miraże pustyni, kołysząc mą wyobraźnię, usypiają mnie powoli. Mniej szczęśliwym odemnie jest pan Hébrard, który rzuca się niespokojnie na łóżku, odpierając napaści niewidzialnych wrogów i zaczyna już żałować piasków w Guifli. O świetle uszu naszych dolatuje ryk wielbłądów, beczenie osłów, oraz gardłowe okrzyki, wydawane przez Arabów. Śliczny brunatny ptaszek zasiada niebawem na krawędzi łóżka, budząc mnie całkowicie łagodnym świergotem. Niebawem spostrzegam, że jest ich dwoje w naszej sypialni, dokąd wlatują i wylatują przez niewielki otwór w górnej części



Korea. — Posągi Buddy; podług fotografii.

drzwi. Są to *buhabibi* czyli przyjaciele, znajdujący się niemal w każdym arabskim domu.

Śliczne te ptaszyny przyglądają się nam ciekawie, świergocąc wesoło, jakby zadawały nam pytania, lub zaczynają latać po całym pokoju, a zmęczony się nieco, zasiadają nam poufale na ramionach. Podczas śniadania kręcą się na stole, domagając się niby swojej porcji i odlatują, zaspokoiwszy głód kilkoma okruciami. Całe ich szczęście polega na tem, by żyć na łonie ludzkiej rodziny, do której szczerze się przywiązują.

Buhabibi przebywają tylko w podzwrotnikowych krainach i już ani w Gabesie, ani w Kairuanie i Tunisie napotkać ich niepodobna. Dawne muzułmańskie prawo nakazywało szanować je, jak świętość, każdy zaś, ktoby chciał im szkodzić, lub zburzył ich gniazdko, bywał skazany na grzywnę.

Zresztą wszyscy Arabowie lubią niezmiernie miłuchne te ptaszęta. Są to, jak mówią, dusze zmarłych krewnych, które nie mogąc się obyć bez towarzystwa żyjących, przybierają postać ptaka, aby brać udział w radościach i cierpieniach swych blizkich.

Po śniadaniu wychodzimy z p. Hébrard'em na dach, a raczej taras domu. Na Wschodzie taras jest miejscem wieczornej schadzki, gdzie się opowiadają

baśnie, załatwiają sprawy, uknuwają spiski, utrwalają się tradycje, a nawet Boże rozkrzewia się słowo. Dym fajki, światło gwiazd, łagodna temperatura i cisza pustyni, zdają się bardziej, niż co innego, zachęcać do długiej gawędki.

Tozeur jest najpiękniejszą i największą oazą w całym Dżerydzie, składa się bowiem z siedmiu rozległych wiosek, leżących na krawędzi lasu, a mianowicie Biczenii, Bled-el-Haderu, Zanjat-Serrahui, Dżehim-Abbasu, Zanjat-Sidi-bu-Lifa i Tozeuru, który stanowi prawdziwą stolicę Belad-el-Dżerydu, czyli krainy palm. Pomiędzy 7000 ludności, znajdujemy tylko 7 Europejczyków.

We wsi Bled-el-Hader, zwiedzamy zwaliska starożytnego miasta Tisurus. Ruiny wielkiego tego grodu posłużyły w znacznej części za materiały do budowy wiosek, wchodzących w skład oazy. Na pewnej wypukłości gruntu istnieją jeszcze ślady rozległego budynku, ozdobionego niegdyś kilkoma rzędami kolumn, których stłuczone podstawy sterczą dotychczas w ziemi. Była to najprzód świątynia pogańska, zamieniona później na chrześcijańską bazylikę, a wreszcie na muźulmański meczet. W pośrodku rozległego placu, którego większą część gmach ten zajmował, wznosi się dziś jeszcze *Semah* czyli czworoboczna wieża, która musiała służyć kościołowi chrześcijańskiemu za dzwonnice, a meczetowi za minaret. Po za pięknymi ogrodami, przyległymi do tych zwalisk, spostrzegamy starożytną studnię o znacznej głębokości, po obu zaś brzegach *Uedu* czyli rzeki przerzynającej oazę, napotykamy olbrzymie głazy, ręką ludzką tam ułożone.

Parterowe lub jedno-piętrowe domki, zbudowane są z *tobu* czyli cegły ułożonej w desenie, który zdaleka robi wrażenie olbrzymiego dywanu, rozpostartego na ścianie. Kwadraciki i liczne krzyże, tworzące te desenie, a zarazem świadczące o Chrystyanizmie, wyznawanym przez pierwotnych mieszkańców, nadają domom elegancką bardzo powierzchowność. Po nad wszystkimi niemal drzwiami wznoszą się również elegackie i leciutkie frontony.

Całe miasteczko Tozeur zawiera 760 domów, bo

bliskość oazy i otaczające ją pustynie, zmuszają ludność do wyrzeczenia się koczowniczego życia.

Uliczki są brudne, pełne kurzu i błota. Tu i owdzie sklepienia, łączące przeciwległe domy, przyćmiewają nieco blask słoneczny, rzucając cień na ulicę. Na słupach wyszczerbionych zębem czasu, nadtluczonych częstymi uderzeniami wozów i noszących wszelkie cechy odległej starożytności, wznoszą się galerie o również smutnej powierzchowności. Pomiędzy materiałem nowożytnego wyrobu, wlepione są gdzieniegdzie bez ładu i składu, odłamy kolumn, kawałki rzeźb, szczątki kapiteli i tym podobnych zabytków, nie będących tu wcale na właściwym miejscu.

Wogóle wszystkie te budynki nie odznaczają się trwałością. Kilka z nich już runęło, inne zaś chylą się ku upadkowi. Dwa wielkie minarety mają kształt pochyły i z pewną melancholią spoglądają na niskie, ludzkie siedliska, dokoła siebie rozrzucone. Nie są one architektonicznym kaprysem, jak na przykład wieża pizańska, ale każą po prostu się domyślać nietrwałości swych fundamentów.

Pochyły minaret wielkiego meczetu wieńczy cztery kopuły w kształcie ulów, wsparte na ośmiu arkadach. Ogromna kopuła środkowa jaśnieje żółto-zieloną mozaiką, zdobiącą jej wierzchołek. Drugi czworoboczny minaret grzeszy jeszcze bardziej przeciw prawdom sztuki i zdrowego rozsądku, niż w Pizie. Jest to prawdopodobnie starożytna dzwonnica, ponieważ pod arkadą sklepienia widać miejsce odpowiednie zupełnie dla dzwonów.

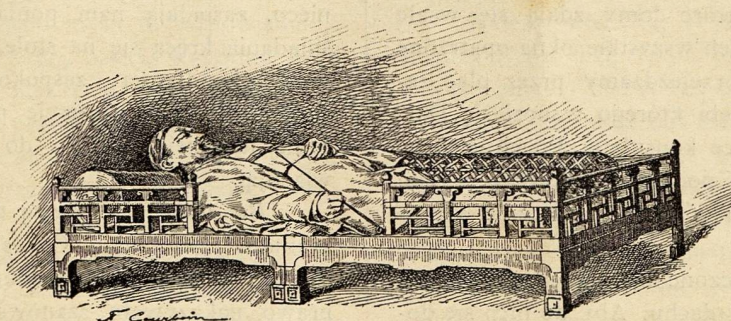
W Tozeur bardziej niż gdziekolwiek indziej czujemy oddalenie od Europy, niema tam bowiem nic takiego, co się u nas spotyka, wszystko zaś, co widzimy, jest nowem zarówno dla naszego oka, jak umysłu. Miasteczko to nie posiada ani kościoła lub szkoły, ani szpitala

lub ochronki, ksiądz zaś i siostra miłosierdza są tam osobistością zupełnie nieznaną. Od dwunastu wieków zamarłe na tym gruncie dzieła chrześcijańskiej cywilizacji, nie rychło jeszcze zdołają się odrodzić.

Najbliższym reprezentantem katolicyzmu jest kapelan wojskowy z Gabesu, odległego ztamtąd o cztery dni drogi. Cały Dżeryd, Suf, Nafzana, oraz wszystkie



Mandaryn korejski; podług fotografii.



Łóżko korejskie; rysunek z natury.

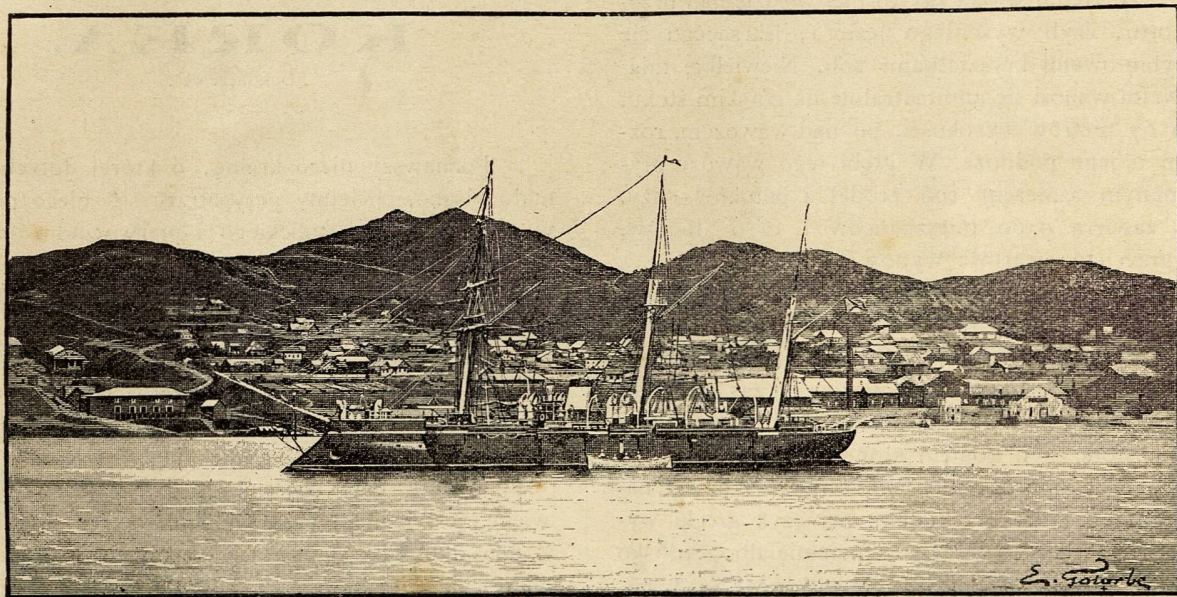
miasta, jak Feriana, Gafsa i inne, począwszy od Kairuanu, oczekują jeszcze i długo może będą oczekiwały przybycia misjonarza. Dzieło więc kardynała Lavigerie jest zaledwie rozpoczętem, dalszego zaś jego przebiegu przewidzieć niepodobna.

Natomiast palmowy las w Tozeur może być uważanym za największy i najpiękniejszy w świecie, bo najlepiej utrzymane, najbardziej cieniste ogrody nie mogą iść z nim w porównanie.

Z drugiej strony w Tozeur uderza nie mile zbyt dekle posunięta swoboda obyczajów. Jeżeli handel niewolnikami otwarcie tam się nie prowadzi, jak przed dziesięciu laty, to jednak zawarcie i rozwiązywanie małżeństw, najmniejszej nie przedstawia trudności, rozwody

zaś są na porządku dziennym. W tym celu można się zupełnie obejść bez wszelkich formalności, wystarcza bowiem oświadczenie w obecności *kaida* i dwóch świadków, że pożycie małżeńskie już się sprzykrzyło.

Pewne arabskie przysłowie głosi: »Kropla wody warta sztuki złota«. Prawdziwości tego przysłowia nigdzie się bardziej nie uczuwa, jak na piaskach pustyni. Ta ostatnia jak ocean rozciąga się po za krańcami wiodnokręgu i ma swoje fale piasku, burze, oślepiające blaski, zupełną samotność, a nawet swych korsarzy. Ona także pochłania ofiary, niktące często bez śladu. Skoro tylko jednak spadnie deszcz lub wytrysnie źródło, natychmiast jałowe piaski w urodzajny zamieniają



Władywostok, sławny port rosyjski nad morzem Japońskim, najbliższy Korejskiego państwa; podług fotografii.

się humus. Twórczynią więc oaz jest woda, która umie zamienić pustynię w czarujące ogrody.

Otóż Tozeur posiada nie mniej, nie więcej, jak 194 źródła, wydzielające przeszło 700 litrów wody na sekundę i przeryzujące 1787 hektarów powierzchni. Ponieważ łączą się one z rzekami podziemnymi, podległymi olbrzymiemu ciśnieniu, dlatego też niektóre z nich są gorące i bardzo obfite. Brzegi ich częstokroć bardzo strome, połączone bywają za pomocą mostków starożytnego lub nowożytnego pochodzenia.

Ponieważ piasek, pędzony wiatrem, mógłby zasypać te źródła, należało je więc uchronić od tego za pomocą wysokiej palisady, albo wału z ubitej ziemi, o który piasek pustyni bezowocnie się odbija.

Pewnego razu obszedłszy Darl-le-Bej i meczet Sidi-Ghebab, wychodzimy na piaszczystą drogę w pobliżu pochyłego minaretu i przebywamy sklepienie, po

za którem rozpoczyna się oaza. Malutki ten kawałek krajobrazu, jest jak gdyby szkicem w miniaturze tego, co posiada Tozeur, a mianowicie piasków, kanałów pełnych wody, pochyłego minaretu, domów połączonych sklepieniami i muru z *tobu* (cegły), po za którym na tle lazurowego nieba rysują się palmy.

Trudno sobie wyobrazić coś przyjemniejszego, jak ranna przechadzka po oazie. Małe, kręte ścieżki, ciągnące się po nad kanałami, wiją się we wszystkich kierunkach pod zielonem sklepieniem palm, których gałęzie za najmniejszym powiewem wiatru, kołyszą się wdzięcznie w powietrzu. Tu i owdzie jakaś chatka z pni palmowych, przepiłowanych na połowę, służy za schronienie ubogiej rodzinie, całe zaś jej umeblowanie stanowi siodło, kilka motyk, kociołek, dzban na mleko, materac z liści palmowych i misa, napełniona winem *lagmi*. Tam, gdzie rosną młode tylko palmy i okrągłe

ich wierzchołki nie stykają się jeszcze ze sobą, wra-
stają drzewa pomarańczowe, figowe, a winna latorośl
nadzwyczajnych rozmiarów, oplata wdzięcznie swemi
zwojami. Tu i owdzie gromadki kobiet w niebieskich
tunikach, zajęte są przemywaniem wełny i w tym celu
namydliwszy sporą ilość białego runa, rzucają je na
duży płaski kamień, gdzie depce je bosy młodzieniec,
poruszając rękami w miarę poruszania nóg. Praca ta,
którąśmy już widzieli w Kairuanie, Gafsie, Sidi-Aich
i Guifli, stanowi jedną z głównych gałęzi miejscowego
przemysłu. Biała lub kolorowa wełna, pofarbowana
w jaskrawe barwy, zamienia się następnie w rękę bie-
głych Arabek na burnusy, *haiki*, pasy i kołdry o fanta-
stycznych deseniach.

O dwadzieścia pięć kilometrów na zachód od
Tozeuru leży Nefta, droga zaś do niej wiedzie nad brze-
giem Szottu, czyli wyschlęgo jeziora, iskrzącego się
zdala brylantowemi kryształkami soli. Niewielkie mia-
steczko Nefta wznosi się amfiteatralnie na górskim stoku,
mającym 67 metrów wysokości, po nad wąwozem, roz-
postartym u jego podnóża. W głębi tego wąwozu pły-
nie z głuchym szmerem 106 źródeł i potoków oazy.
Oaza ta zawiera 9500 mieszkańców i 1210 domów,
których przeciętna wartość wynosi 333.000 franków.

Założenie Nefty przypisują Arabowie Keustheulowi,
synowi Sema, a wnukowi Nuha czyli Noego. Podług
hrabiego Du Paty de Clam, Nefta jest miastem założo-
nem przez Kucha, syna Chama, nazwa jej zaś powstała
z wyrazów No-Ftah syn Ftaha, który był u Kuchitów
najwyższą istotą czyli bogiem słońca. Synem jego był
bóg wody, czyli dobroczynny Nil, sama zaś nawet na-
zwa Egiptu jest tylko przekładem na język grecki wy-
razów Ha-Ka-Phtah, oznaczających ziemię albo siedlisko
Ftaha $\eta - \gamma \eta - \gamma \tau \omega \nu = \text{At} - \gamma \nu - \pi \tau \omega \varsigma$. Mieszkańcy Nefty po-
chodzący od Kuchitów, zaliczali się do Libijczyków,
którzy podług Herodota czcili słońce i wodę, miesz-
kali nad jeziorem Trytońskim i nosili nazwę Auzań-
czyków.

Bardzo piękną jest oaza neftyjska, ale niestety,
piasek pustyni coraz bardziej do niej się przedziera,
usiłując ją rozdzielić na dwie połowy. Wkrótce nawet
podobnie, jak wiele miast pierwotnych, może ona zni-
knąć całkowicie pod piaskami Sahary, jeżeli administra-
cja nie pospieszy zabezpieczyć ją od tego za pomocą
wałów podobnych do tych, jakie opasują Tozeur.

Niegdyś stanowiła Nefta ogromne targowisko nie-
wolników i oficerowie francuscy nieraz musieli zmuszać
do odwrotu całe gromady handlarzy ludzkiego towaru.
Dziś karawany zmieniały kierunek, podążając tajemnie
do Trypolis, ale czy handel niewolnikami ustał zu-
pełnie, to rzecz bardzo wątpliwa.

Przez długi czas jeszcze Bracia saharyjscy nie będą
mogli położyć tamy wstrętnej tej manipulacji, cała zaś
ich działalność będzie polegała jak dotąd, na wierceniu

studzien, sadzeniu palm i zakładaniu oaz. Od chwili,
w której wszystkie europejskie dzienniki zaczęły pioru-
nować na handlarzy żywego towaru, ci ostatni wiedzą
dobrze, czego mają się trzymać i dlatego też większa
część podróżników, zapuszczających się w głąb afry-
kańskiego lądu, ginie marnie z ich ręki.

Zamiast wypowiadać wojnę handlarzom niewolni-
ków, która ostatecznie do niczego nie doprowadzi, czyż
nie lepiej byłoby zawiązać przyjazne stosunki z mu-
rzyńskimi plemionami, zaznajomić się z topografią ich
krajów i osiedliwszy się stopniowo pomiędzy nimi, poło-
żyć w sposób pokojowy stanowczy koniec napaściom
i polowaniu na ludzi¹⁾.

(C. d. n.).

KOREA.

(Dokończenie).

Poznawszy nieco krainę, o której dotychczas tak
mało pisano, chciemy przypatrzeć się nieco położeniu
w niej Kościoła katolickiego i pierwocinom prac mis-
syonarzy tamtejszych. Oto, co do nas pisze w tym
względzie X. biskup G. Mutel, wikaryusz apost. w Korei,
pod dniem 2 kwietnia 1893 roku.

W r. 1884, Kościół korejski obchodził stuletnią
rocznicę swego założenia. Wówczas też rozpoczęła się
dla niego nowa era, wolna od okropnych prześladowań,
jakimi się odznaczał początek jego istnienia.

Geneza tego Kościoła i dzieje pierwszego jego
wieku, jest jednym pasmem niezwykłych łask i cudów.
Z początku kilku korejskich uczonych poznaje zasady
chrześcijańskiej wiary za pomocą ksiązek przywiezio-
nych z Pekinu. Prawda sama przez się przemawia tak
żywo, że dzięki łasce Bożej postanawiają przyjąć ją
niezwłocznie. Jeden z pocziwych tych ludzi udaje się
do Pekinu w celu uzupełnienia wiadomości z dziedziny
religii i otrzymawszy tam Chrzest św., udziela go za
powrotem swoim towarzyszom.

Od samego niemal początku prześladowanie na-
wiedza nieliczną tę trzodę i przed przybyciem jeszcze
kapłanów do nowego, stopniowo tworzącego się Ko-
ścioła, wydaje on już nieustraszonych wyznawców i mę-
czeników za wiarę.

W r. 1795 pewien kapłan chiński, O. Tzju (Tiyou)
przedziera się pierwszy przez granicę, ale w sześć lat
później w r. 1801 ponosi śmierć męczeńską wraz z lic-
nem gronem najwybitniejszych chrześcijan. Wreszcie
z tego Kościoła, pozostawionego sobie samemu przez

¹⁾ Przytaczamy słowa uczzonego kapłana, nie chcąc zmieniać
tekstu jego opowiadania, jednak w poglądzie na działalność antinie-
wolniczą w wielu punktach mamy odrębne zdanie.

(Przypisek Redakcyi Missyj katolickich).

lat przeszło trzydzieści, dochodzi do Stolicy Apostolskiej pierwszy okrzyk rozpacz. W r. 1831 przybywają tam pierwsi misyjonarze i nieszczęśliwa misja koreańska zostaje powierzona pieczy Stowarzyszenia misyj zagranicznych.

Niebawem, bo już w r. 1839, X. biskup Imbert wraz z Ojcami Maubant i Chostan, podźwignął z upadku nową Chrystusową owczarnię, pokrzepił słabych na duchu i we wszystkich zakątkach kraju rzucił ewangeliczne ziarno. Wkrótce jednak wybuchło prześladowanie, w ciągu którego wszyscy trzej słudzy Boży, wraz ze znaczną ilością chrześcijan zostają schwytani i ścięci.

Nieustraszonych męczenników nowi zastąpili pracownicy, a między nimi weszli na widownię pierwsi kapłani Korejczycy, przygotowani do życia apostolskiego wygnaniem i cierpieniami. W r. 1846 duchowieństwo koreańskie wydaje pierwszego męczennika w osobie zanego i odważnego kapłana, Andrzeja Kima.

We 25 lat później Korea liczy już 25.000 chrześcijan, dwóch biskupów, dziesięciu misyjonarzy, a nawet posiada seminaryum z kilkoma klerykami. Nagle okropna zrywa się nad nią burza. Dnia 8 marca 1866 r. X. biskup Berneux wraz z trzema towarzyszami Ojcami de Bretenières, Beaulieu i Dorie, kończy życie na rusztowaniu, dnia 11 tegoż miesiąca OO. Pourthié i Petitnicola takiemuż samemu ulegają losowi, a wreszcie dnia 30 marca X. biskup Dareluy, oraz OO. Aumaître i Huin, dopełniają swoim męczeństwem pierwszego aktu krwawej tej tragedii. Co do pozostałych trzech misyjonarzy, to muszą oni niezwłocznie opuścić granice Korei. Wówczas okropna rzeź się rozpoczyna, chrześcijanie śledzeni i ścigani zażarcie, zostają wymordowani, tym razem bowiem zaprzysiężono śmierć wszystkim wyznawcom Chrystusa i zaciekłość prześladowców uspokoiła się dopiero wówczas, gdy, jak się zdawało, nie pozostało już ani śladu chrześcijaństwa.

Atoli Chrystus wraz ze swą nauką jest nieśmiertelnym. Jeden z misyjonarzy, który szczęśliwie zdołał uniknąć śmierci wśród ogólnej rzezi, przybywa niebawem, aby wieść dalej dzieło swych poprzedników, wkrótce zaś potem przybywają nowi apostołscy pracownicy, aczkolwiek w przeciągu lat dziesięciu, misyjna ich działalność niezmiernie jest ograniczoną. Wreszcie w r. 1876 X. biskup Ridel przysłał tam dwóch misyjonarzy. Podczas, gdy jeden z nich zaczął odwiedzać potajemnie rozproszonych tu i owdzie chrześcijan, drugi zapadł w niebezpieczną chorobę i czuł się już bliskim śmierci. Wówczas nadszedł jego towarzysz, aby mu swą obecnością osłodzić ostatnie chwile życia. Nagle umierający się odzywa: »Jesteśmy tu dla Boga, Bóg więc nie zostawi cię samego i raczej cudem przywróci mi zdrowie. Bądź spokojny«. Rzeczywiście Bóg zdziałał cud, bo wkrótce chory odzyskał siły i mógł się zabrać do pracy. Przybycie misyjonarzy natchnęło odwagą nie-

szczęśliwych chrześcijan, których znalazło się z początku zaledwie kilka tysięcy, wielu z nich bowiem znikło z oczu podczas prześladowania i dopiero w lat kilka później dowiedziało się o powrocie swoich kapłanów.

Gdy wreszcie misyjonarze zdołali obrachować dokładnie ilość swych wiernych, przekonali się z boleścią, że połowa z nich, to jest przynajmniej 10.000 osób, stała się ofiarą prześladowania, lub też umarła z nędzy.

Zaledwie X. biskup Ridel połączył się z dwoma pierwszymi misyjonarzami i nowe przywiózł im posiłki, gdy na początku 1878 r. złapano na granicy listy, przesłane z Europy pod jego adresem. Natychmiast goniec, który je wiozł, dostał się do więzienia i niebawem wyznał na torturach całą tajemnicę. X. biskup Ridel został więc aresztowany i osadzony w więzieniu z rozmaitymi złoczyńcami. Spodziewał się nawet, że lada dzień wydadzą na niego wyrok śmierci, ale na prośbę francuskiego ministra, rezydującego w Pekinie, rząd chiński zażądał uwolnienia czcigodnego pasterza, którego jednak niezwłocznie wywieziono za granicę Korei. Bądź co bądź było to pierwsze ułaskawienie misyjonarza przez fanatyczny rząd koreański.

W roku następnym aresztowano O. Deguette'a, ale na żądanie Chin wypuszczono go również na wolność. Jednakże nieprzebyta tama, jaka dzieliła Koreę od wszystkich cudzoziemców, później dopiero usuniętą być miała.

W r. 1881 Japonia zawarła traktat handlowy z Koreą, za przykładem zaś jej poszły Stany Zjednoczone, Anglia, Niemcy i Rosya. Kupcy cudzoziemscy



Korea. — Łowienie ryb wędką; podług koreańskiego rysunku.

mogli już swobodnie podróżować do Seulu i koreańskich prowincyj, gdy tymczasem misyjonarze musieli jeszcze ciągle pozostawać w ukryciu. Położenie takie mogło

trwać długo. W r. 1886 Francja zawarła z kolei traktat z państwem Korejskiem. Wprawdzie niema tam mowy o tolerancji religijnej, ale bądź co bądź misyjonarze mają już nad sobą pewną opiekę, której wpływ coraz bardziej daje się uczuwać.

Na gruncie użyzionym krwią męczenników, zaczynają obficie kiełkować już plony. W r. 1886 ilość katolików wynosiła zaledwie 14.000 osób, dziś zaś cyfra ich dosięgła do 20.840. W roku ubiegłym ochrzczono tam 1443 dorosłych. Na prowincyi pracuje już obecnie 23 misyjonarzy; seminaryum niedawno temu założone liczy 36 uczniów, ale niestety, budowa kaplic, ochronki, szpitala i rezydencyj misyjnych, pochłoneła wszystkie nasze fundusze, gdy tymczasem budowa katedralnego kościoła, jak również wzniesienie grobowca dla naszych męczenników bardzo nam leży na sercu.

Męczennicy nasi spoczywają jeszcze dotąd pomiędzy poganami, gdzie pobożni chrześcijanie ukryli ich zwłoki, trzymając to dotychczas w najściślejszej tajemnicy. Jakże bolesnem dla nas i dla naszych neofitów jest opuszczenie tak cennych dla nas zwłok naszych poprzedników, umęczonych za wiarę. Pragniemy więc najgoręcej wydobyć je z tamtąd i przenieść na odpowiedniejsze miejsce aż do chwili kanonizacyi drogich korejskich męczenników.

Dnia 8 maja roku ubiegłego położyliśmy kamień węgielny przyszłej tutejszej katedry, fundamenta są już ukończone i świątynia powoli się wznosi. Ale niestety, środki, na któreśmy rachowali w tej mierze, wyczerpały się już zupełnie i musimy zwrócić się z prośbą o pomoc do wiernych z całego chrześcijańskiego świata. Chodzi nam o to, by 1500 tutejszych chrześcijan mogło modlić się wspólnie, wszyscy zaś neofici przybywający do stolicy, mieli pociechę wysłuchania Mszy św. Zresztą kościół ten jest oznaką religijnej swobody, którą tak drogo tutaj okupiono.

Podczas prześladowania, męczennicy, którzy nas tu poprzedzili, marzyli o dniu, w którym stanie ta świątynia, stosownie więc do pobożnego ich życzenia, a zarazem przez wdzięczność do Najśw. Panny Patronki Korei, poświęciliśmy nasz kościół na cześć Jej Niepokalanego Poczęcia.

W imieniu więc tej dobrej Matki, Męczenników i biednych chrześcijan, oraz wiernych Jej sług, ośmielamy się prosić o niezbędną pomoc z głębokiem przekonaniem, że ufność nasza zawiedziona nie będzie.

Seul, dnia 2 kwietnia 1893 r.

† G. Mutel,

Biskup tytularny z Milo, Wik. apost. Korei.

KONIEC.

LISTY Z BENGALU.

Khunti dnia 5 kwietnia 1893 r.

Wiele mówią w Europie o sile przyciągania. Słynna wieża Eiffel przyciągnęła niejednego na wystawę paryską, na jarmarkach taką siłę przyciągającą posiadają rozmaite budy. A więc i Chota Nagpore ma także swoje przynęty.

Oddawna już łamałem sobie głowę nad sposobem sprowadzenia do kościoła chrześcijańskich matek i młodych dziewcząt. Chociaż już od lat kilku mieszkam w Bengalu, przez długi czas wszakże nie mogłem znaleźć skutecznej dla nich przynęty. Wreszcie pewnego dnia, podobnie jak Archimedes, zawołałem z radością *eureka!* W niedzielę po Mszy św. i nauce wygłoszonej przez misyjonarza, katechiści dzielą mężczyzn, kobiety i dzieci na odrębne grupy, stosownie do stopnia ich biegłości w katechizmie i w przeciagu kwadransa lub półgodzinie uczą ich modlitw, małego katechizmu i t. p.

Po zakończeniu tej improwizowanej lekcyi wystawiamy w szeregu wszystkie dzieci wraz z matkami, trzymającemi na ręku najmłodsze swoje pieszczotki, które podczas nabożeństwa wyprawiają nieraz okropną wrzawę, przeszkadzając wszystkim pobożnym, a zwłaszcza kapłanowi.

— Panthi! Panthi! cicho! cicho! — woła katechista i natychmiast głucha cisza zapanowuje w szeregu, oczekującym z niecierpliwością *great attraction*, to jest niewielkiego kawałka *ghuru*, czyli cukru miejscowego wyrobu. Wszystkie prawie dzieci wyciągają chciwie drobne swoje rączki, do których misyjonarz wkłada *mitaje* czyli cukierek. Zarówno małe jak dorosłe dziewczęta a nawet matki, lubią niezmiernie cukierki.

W następną niedzielę, matka, nie rozumiejąca jeszcze obowiązku słuchania Mszy św., waha się nieco. »Pójsz, czy nie pójsz? Och, dziś wielki wiatr na dworze. Nie mam czasu iść na Mszę św. Niebo pokrywa się chmurami i z pewnością deszcz będzie padał. Nie, nie pójdę dzisiaj. Tymczasem rozlega się dźwięk dzwonu lub *gongu*, który zastępuje jego miejsce. Dzieciak przypomina sobie *ghur* w poprzedzającą otrzymaną niedzielę i obsypując matkę pieszczotliwemi nazwami *he ma*, *he ainga*, zaczyna ją prosić tak serdecznie, a zarazem tak natrętnie, jak tylko dzieci prosić umieją, wiedząc z góry, że matka prośbie jego oprzeć się nie zdoła. Z początku wprawdzie udaje, że go nie słyszy, ale dzieciak nie zniechęca się tem wcale i nalega dopóty, dopóki matka nie okryje się długim welonem, przywdziewanym tylko w dniu uroczyste i przywiązawszy na plecach małego natręta, nie pójdzie z nim do kościoła. Wówczas dopiero ustaje płacz i niebawem *Saheb* spostrzeżąc małego swego gościa, którego właściwie mówiąc, nie potrzebował wcale i który nawet będzie mu przeszkadzał w odprawianiu nabożeństwa. Ale wraz z dzieckiem przychodzi i matka, która bez swego ulubieńca nie dałaby się zwerbować do kościoła. Po co przychodzi, oto po *ghur* dla swego maleństwa, który dla naszych biednych dzikich daleko potężniejszy stanowi środek od najpiękniejszych kazań Bosuet'a. Co do samych Hindusów, to główną dla nich przynętą jest szczypta tytoniu. Dlatego też, podczas gdy dzieciom rozdaje się *ghur*, w pobliżu kościoła mężczyźni otrzymują ze swej strony trochę liści tytoniowych. Tytoń ten zostaje w lewej dłoni utarty na proszek za pomocą wielkiego palca prawej ręki i miesza się z odrobiną wapna, poczem każdy bierze z niego szczyptę i kładzie ją do ust, dotykając prawą ręką czoła na znak podziękowania. Hindusi mówią, że tytoń przyrządzony w taki sposób, orzeźwiający wpływ wywiera. Oto dwie wielkie przynęty, nie kosztujące nas zbyt drogo, ponieważ za pomocą odrobiny *ghuru* i kilkunastu liści tytoniowych, możemy zadowolnić wszystkich naszych wiernych, przybyłych na nabożeństwo w niedzielę lub święto.

Niedawno temu znalazłem wreszcie trzeci środek, posiadający pewną atrakcyjną siłę i mający tę wyższość nad dwoma poprzedniami, że ściąga do nas zarówno mężczyźni, kobiety i dzieci, uspakajają płacz i krzyki niemowląt, a w dodatku nie kosztuje nas ani jednego *paisa* (3½ centymów). Odkryłem go przypadkiem, a raczej Opatrzność Boża, która wspiera, ratuje i pociesza biednego misjonarza, sama mi go wskazała.

W ubiegłym miesiącu udałem się pewnego razu do Gompili, Uongdy i Maruary, trzech wsi leżących w górach o kilka mil na południe od Dormy. Nie wiem, czy nieprzyjaciół rodu ludzkiego pragnął przeszkodzić tej podróży, ale bądź co bądź w przeciągu dni trzech, jakie poświęciłem na zwiedzenie powyżej wymienionych wiosek, okropna szalała burza. Nie przeszkadza to jednak wcale, że wycieczka tą zapisała się nader mile w pamięci misjonarza. W poniedziałek rano przed odjazdem z Dormy, pobłogosławiłem jeden małżeński związek, poczem wysłałem naprzód kilku *coolisów* czyli tragarzy, kucharza, parobka i pewnego *chaprassi* czyli woźnego, służącego do zwolowania chrześcijan. Co do mnie, to dopiero o trzeciej po południu puściłem się w drogę. Po jakimś czasie niebo zaczęło się chmurzyć, grożąc gwałtowną burzą. Przez chwilę wahalem się, co mam począć. Niebawem zaczęła padać drobny deszczyk, ale to jeszcze drobnostka.

— Zmoknę całkowicie — pomyślałem sobie — dostanę febrę i przez czas długi będę przykuty do swego *parkumu* czyli łóża. Ale moi ludzie wysłani naprzód będą mnie oczekiwali, a w dodatku muszę tego samego wieczora pobłogosławić dwoje małżeństw w Uongdzie.

— Jedźmy więc w Imię Boże! — zawolałem i zacząłem naglić do biegu swojego Bismarka, naturalnie nie starego kanclerza niemieckiego, ale małego *poneya*, który nosi to wielkie imię. Dotarłem szczęśliwie aż do Balo, pomimo groźnych chmur i nader częstych grzmotów.

Zaledwie jednak wyjechałem z tej wioski, zerwał się gwałtowny wichur, przeczający ulewę, pędząc przed sobą tumany kurzu, zwiędłe liście i małe gałązki, złamana przed chwilą przez okropny ten żywioł. Na szczęście znajdowałem się wówczas w Bagidży, to jest na miejscu zasadzonym drzewami. Natychmiast więc schroniłem się pod drzewem, którego ogromne zwieszone gałęzie, stanowiły wprawdzie niezbyt bezpieczne, ale chwilowo zadawalniające schronienie od deszczu, który zwykle po wichurze następuje. Zsiadłem więc z mego starego Bismarka, aby wraz z nim ukryć się jak najstaranniej pod osłoną opiekuńczych gałęzi. Słusznie jednak powiada przysłowie, że *violenta non durant*.

Rzeczywiście niebo niebawem się rozjaśniło, z czego byłem niezmiernie zadowolony, gdyż z olbrzymiej gałęzi i liści drzewnych daleko więcej spływało wody na mnie i mego spokojnego towarzysza, niż z olowianych obłoków.

— Ruszajmy dalej — rzekłem do Bismarka, który niezbyt chętnie zgodził się na tę propozycję zbyt może nagłą, ale konieczną. Biegąc po gruncie przesiąkniętym wodą, niepocziwy Bismark obryzgał całkowicie błotem moje spodnie i sutanę. Na szczęście jechałem wśród lasu, gdzie mokre i zabłocone ubranie jest na porządku dziennym podczas pory deszczowej. Wreszcie dotarłem szczęśliwie do Gompili, gdzie znalazłem wszystkich swoich ludzi.

— Cóż będziemy robili, moi przyjaciele? — wołałem. Pamię-

tajcie o tem, że nędzna lepianka, pokryta *kerrem* (pewnym gatunkiem suchej trawy), a służąca za świątynię i punkt zborny dla naszych chrześcijan, nie stanowi bynajmniej dostatecznego schronienia od wichru i śloty.

— Czy deszcz będzie jeszcze padał? — zapytuję nakoniec, chociaż z góry jestem przygotowany na ich odpowiedź.

— *Han* (tak) *Sahebie* — wołają jednogłośnie, ale teraz deszcz nie pada.

— Widzę, że w tej chwili nie pada, ale chodzi mi o to, czy później nie będzie padał.

— *Okoe Sario, Saheb* (któż to może wiedzieć, panie?)

— A zatem, ponieważ teraz deszcz nie pada, sądzę więc, że powinniśmy niezwłocznie podążyć do Uongdy, gdyż tutaj wcale nie jesteśmy bezpieczni.

Odjeżdżamy więc i przybywamy szczęśliwie do Uongdy, ale natychmiast po naszym przybyciu nowa zrywa się burza. Na szczęście schroniliśmy się do budynku, służącego jednocześnie za kaplicę, rozmównicę i mieszkanie dla misjonarza. Tam zbiera on swych wiernych, odprawia Mszę świętą, chrzci dzieci, słucha spowiedzi, udziela Komunii św. neofitom oświeconym już dostatecznie w wierze, oraz błogosławi małżeńskie związki.

Niebawem wchodzi do mego schronienia dzieci płci obojej, aby się uczyć modlitw i otrzymać w nagrodę za swą pilność po kawałku *ghuru* lub *papai*.

Prawdziwą pociechą dla misjonarza jest widok tylu małych dzieci, odmawiających pobożnie Modlitwę Pańską, Pozdrowienie Anielskie i Skład Apostolski. W wieczornej nauce modlitw, biorą też udział dorośli, którym radzę odbyć wielkanocną spowiedź, aby nazajutrz rano przyjąć Komunię świętą. Spowiedź wielkanocna rozpoczyna się tutaj we środę popielcową i trwa aż do niedzieli Trójcy świętej. Wieczorem po nauce i modlitwie pobłogosławiłem jeszcze dwoje małżeństw.

Pomimo niewygód podróży, jestem zadowolony z ubiegłego dnia i dziękuję zań z głębi serca Dawcy wszelkiego dobra. Nazajutrz rano, po bardzo wczesnym obiedzie

wyjeżdżamy do Maraory. Tam dowiaduję się o pewnym chrześcijaninie, który na mnie podczas ostatniej mej wycieczki nader korzystnie zrobił wrażenie. Niestety, biedny ten człowiek w chwili rozpaczy, jaka go ogarnęła, gdy żona jego zachorowała niebezpiecznie, a katechista z powodu wrzodu na nodze nie mógł pospieszyć z pomocą, uległ namowom innych i złożył ofiarę szatanowi. Od tej chwili nieszczęśliwy nie miał już odwagi przekroczyć kościelnego progu. Dlatego też w towarzystwie katechisty Chaprassiego i jednego z wybitniejszych mieszkańców Maraory, udałem się osobiście do mieszkania tego człowieka, który był raczej słabym i ciemnym, niż złym lub przewrotnym. Niebawem przeszło 20 osób otoczyło nas dokoła. Przedewszystkiem zwróciłem uwagę biednego winowajcy na grzech, jaki popełnił, składając ofiary duchowi ciemności wbrew przykazaniu Bożemu, nakazującemu nam czcić i kochać jednego tylko prawdziwego Boga.

— Ale w prawdziwym Chrystusowym Kościele — dodałem — znajduje się przebaczenie za wszelkie grzechy, przyjdź więc jutro na Mszę świętą i wyspowiadaj się szczerze.

Pocziwy człowiek obiecał spełnić mój rozkaz i nazajutrz wyspowiadał się wraz z żoną, ale ponieważ oboje dali swym



Uczony korejski; podług tamtejszego rysunku.

sąsiadom pewne zgorszenie, musieli więc ponieść publiczną pokutę, to jest powtórzyć głośno śluby uczynione na Chrzcie świętym, nie przystępując tym razem do Stołu Pańskiego.

We środę po Mszy świętej wyruszyłem z powrotem do Gompili, dokąd przybyłem około dziesiątej rano. Podczas gdy moi ludzie zabrali się do przyrządzenia objadu, ja zacząłem wyklądać zasady świętej naszej wiary kilku gorliwym chrześcijanom, którzy pospieszyli powitać Ojca i wysłuchać jego nauk. Po obiedzie przygotowywałem pewną młodą dziewczynę do Sakramentu małżeństwa, którego mam jej udzielić za kilka tygodni.

We czwartek rano dziewczę to wyrzekło się publicznie protestantyzmu w obecności kilku świadków, przyrzekając odtąd być dobrą katoliczką, poczem odbyły się zaręczyny. Wieczorem zaczęli schodzić się ludzie w celu wyświadczenia się i przygotowania w taki sposób do Komunii Wielkanocnej, którą nazajutrz mieli przyjąć. Lecz oto nagle zrywa się burza. Co począć? Czy jechać do Dormy, odległej o trzy mile, czy też wracać do Uongdy, gdzie mamy zapewnione schronienie od deszczu i słoty. Ponieważ jak jedno tak też i drugie wiele pozostawia do życzenia, postanawiamy więc nie ruszać się z Gompili. Tymczasem ciemność zmusza wszystkich wiernych do pozostania w kaplicy. Na nabożeństwo wieczorne schodzi się więcej jeszcze osób, ponieważ zaś ciemność zatrzymuje wszystkich w kaplicy, zaczynam więc ich nauczać. Po krótkiej nauce, bojąc się, aby ich nie znudził wykład tak poważnych rzeczy, zapytuję czy nie są zmęczeni i otrzymawszy przeczącą odpowiedź, wyszczęplam jeszcze przez czas niejaki zasady świętej naszej wiary.

— Teraz — odzywam się nakoniec — zaśpiewajcie jakąkolwiek z waszych pieśni, byle tylko nie pogańską.

— Nie, *Sahebie* — wołają uradowani — będziemy śpiewali pieśni o Panu Bogu.

Propozycja ta wszystkim niezmiernie się podobała, tak, że ci nawet, którzy zaczynali już drzemać, ożywili się i wzięli udział w chórze, któremu wtórowałem, wybijając takt rękami. Stopniowo całe towarzystwo ożywia się i nabiera zapału. Za mężczyznami stoją kobiety, nie ruszając się z miejsca. Czas upływa szybko, ale wszyscy z tak niezwykłą śpiewają werwą, iż zdają się nie spostrzegać wcale, że już pora udać się na spoczynek. Co do mnie, to wymykam się na czas pewien, w celu odprawienia pobożnych swych ćwiczeń i za powrotem do kaplicy, znajdując wszystkich mężczyzn, śpiewających z niemniejszym, niż poprzednio zapałem.

— Teraz — wołają ci ostatni — kobiety muszą nam zaśpiewać.

— Dobrze — odpowiadam — przyjadę tu znowu za miesiąc i wtedy wieczorem będziemy śpiewali.

Widzicie więc, że śpiew stał się przynętą daleko potężniejszą od wszelkich innych, z czego naturalnie nie omieszkam skorzystać, aby oświecić biednych dzikich w świętej naszej wierze i nauczyć ją kochać z całego serca.

W. Frencken.

Mała kroniczka missyjna.

Ranchi dnia 27 czerwca 1893 r.

Dnia 11 maja w uroczystość Wniebowstąpienia Pana Jezusa odbyła się prześliczna ceremonia w szkole pod wezwaniem św. Jana Berchmansa. Trzynastu uczniów tego zakładu przystąpiło po raz pierwszy do Stołu Pańskiego. O wpół do siódmej rano O. Philippart odprawił Mszę świętą i uszczęśliwieni młodzieńcy otrzymali z jego ręki Najśw. Chleb Aniołów. O wpół do szóstej wieczorem odbył się uroczysty nieszpór w kościele przyozdobionym o tyle, o ile skromne nasze środki na to pozwalały. Potem podobnie, jak w krajach głęboko katolickich, po błogosławieństwie Przenajśw. Sakramentem, nastąpiło odnowienie obietnic na Chrzcie świętym uczynionych.

Dnia 21 maja, w uroczystość Zesłania Ducha św., jedenaście

dziewczynek z plemienia Uraonów i Mundarów, dostało tego samego szczęścia w klasztorze Loretańskim w Ranczy.

Dnia 24 maja wrócił do Manrezy O. L. Haghenbeck w celu spełniania obowiązków wicerektora i przełożonego Ojców, którzy rozpoczęli tak zwany trzeci rok probacyi czyli nowicyatu księży. Ojciec Leon Philippart pozostał na stanowisku przełożonego nowicyuszów.

Dnia 31 maja. Nabożeństwo żałobne za spokój duszy O. Teofila Booson'a. Z powodu uroczystości Bożego Ciała, która wypadła w tym roku dnia 1 czerwca, w rocznicę śmierci O. Booson'a, musieliśmy odprawić o jeden dzień wcześniej nabożeństwo żałobne za spokój duszy tego drogiego i nieodżałowanego przełożonego. W nabożeństwie tem wzięła udział pobożna rodzina i liczni tutejsi przyjaciele zmarłego, jak również dziatwa szkolna, która doń serdecznie była przywiązana.

Całą kaplicę św. Jana Berchmansa przystrojono na ten dzień kirem. Mszę żałobną odprawił O. Meurice, rodak zmarłego i przełożony zakonnego domu w Manrezie. Wszyscy kapłani, uczniowie naszych szkół i chrześcijanie w Ranczy, poczytali sobie za obowiązek przybyć na to nabożeństwo. R. I. P.

Dnia 1 czerwca. Uroczystość Bożego Ciała. O kwadrans na szóstą rano, wszyscy nasi kapłani jak również Siostry Najśw. Panny z Loreto, uczniowie obu szkół, podróżni zamieszkali w *derze*, oraz wszyscy chrześcijanie z Ranczy, utworzyli uroczysty orszak i rozpoczęli procesję z Przenajśw. Sakramentem. Na czele orszaku kroczyli scholastyk niosący krzyż, obok niego zaś szło dwoje dzieci o twarzyczkach czarnych jak heban, w ponsowych pelerynkach i z zapalonymi pochodniami w ręku. Dalej widać było 140 uczennic i 189 uczniów, tak, że sami tylko wychowawcy naszych szkół tworzyli grupę złożoną z 329 osób. Ojcowie Meurice i Fleurquin, którym Ojciec Wicerektor powierzył zorganizowanie procesji, rozdali pomiędzy dzieci 66 chorągiewek, przysłanych nam niedawno temu przez szlachetnych i wspiałości myślnych przyjaciół z Belgii. Podział ten został dokonany z wielkim taktem i estetycznym poczuciem. Obaj Ojcowie potrafili wywiązać się z trudnego tego zadania tak, aby w nikim nie wzbudzić zazdrości, a zarazem ugrupować chorągiewki w taki sposób, aby jak najbardziej malowniczo przedstawiały widok. Za dziatwą szkolną szli Ojcowie i Siostry, dalej sześć małych dziewczynek syjących kwiaty, czterech posługacych kościelnych z kadzielnicami, czworo dzieci z dzwoneczkami w ręku, a wreszcie O. Wicerektor niosący Przenajśw. Sakrament pod baldachimem, który zawdzięczamy również wspiałości myślności drogich naszych dobroczyńców. Obok niego kroczyli dyakon, subdyakon i kilkunastu ludzi niosących pochodnie, za nimi zaś przeszło 200 chrześcijan przybyłych na tę uroczystość. Tworzyliśmy więc orszak, złożony przeszło z 500 osób i stanowiący honorową eskortę dla Pana Zastępów na pogańskiej tej ziemi, gdzie przed dziesięciu laty miał On zaledwie nieliczną garstkę wyznawców.

Uroczysta procesja na przestrzeni poprzednio oznaczonej trwała około pięciu kwadransów. Po za obrębem świątyni urządzono dwa ołtarze, jeden na peronie nowego domu w Manrezie, drugi zaś w ogrodzie Sióstr przy Loretańskim klasztorze. W ciągu pierwszej połowy procesji chłopcy ze szkoły św. Jana Berchmansa śpiewali po łacinie pod kierunkiem O. Philipparta hymny na cześć Przenajśw. Sakramentu. Pobożne te śpiewy przywodzą nam zawsze na myśl nieodżałowanego Ojca Booson'a, on bowiem pierwszy zaczął z niezwykłą gorliwością uczyć tutejszą dziatwę kościelnego śpiewu. Następnie dziewczęta odśpiewały w miejscowym narzeczu kilka hymnów na cześć Pana Jezusa i Najśw. Panny.

W chwili wyruszenia procesji pogoda niezbyt świetna rokowała nadzieje, od kilku dni bowiem mieliśmy gwałtowne burze i ulewne deszcze. Było jakby ogon okropnego cyklonu, który szalał wówczas nad odnogą Bengalską. Ale na szczęście podczas procesji deszcz nie padał wcale, tylko lekki wietrzyk poruszał figlarnie różnobarwnymi chorągiewkami i około wpół do siódmej orszak

nasz wkroczył szczęśliwie do kaplicy przy szkółce św. Jana Berchmansa. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej pocieszającego, jak widok głębokiej powagi i pobożnego skupienia ducha, zarówno u działwy szkolnej jak i u wszystkich chrześcijan, którzy brali udział w pięknej tej ceremonii. Wogóle mieszkańcy Wschodu lubią niezmiennie manifestacje tego rodzaju, wielka więc szkoda, że ich częściej nie możemy urządzać.

Wieczór dnia uroczystości Bożego Ciała zapisał się niezatarceni głoskami w pamięci naszych uczniów. Wielebny O. Laurent z pomocą kilku nauczycieli i doroślejszej młodzieży szkolnej, ułożył z historii Józefa pewien rodzaj dramatu w pięciu aktach, odznaczającego się niezwykłą prostotą i zastosowaniem całkowicie do kryterium pojęć naszych ludzi. Dekoracje przedstawiające krajobrazy Palestyny i sale w pałacu Faraona, zostały wykonane wcale ładnie przez O. Fleurquin'a. Chór złożony z pięćdziesięciu uczniów, na wzór chórów w dawnych tragediach greckich, jak mówił O. Laurent, śpiewał przy dźwięku bębnow i cymbałów to, czego aktorowie nie wypowiadali, lub też opiewał chwałę prawdziwego Boga, czyny Faraona i Józefa i t. p. Sam dramat urozmaicały bardzo częste solog, śpiewane bądź przez samego Józefa, bądź przez Benjamina, lub przez innych jego braci. Rozrzewniającą zwłaszcza była skarga odśpiewana przed starym Ojcem Jakóbem przez najmłodszego jego syna po otrzymaniu fałszywej wieści o śmierci Józefa. Mali nasi uczniowie ułożyli sami też elegię na wzór posępnego żałobnego śpiewu, towarzyszącego tu zwykle ceremoniom pogrzebowym.

Nie tylko nasi chrześcijanie, ale nawet Anglikanie i luteranie zbiegli się tłumnie na to widowisko. Trzeba było widzieć, z jakim zachwytem przyglądali się aktorom ubranym za staraniem O. Fleurquin w stroje zastosowane o ile możliwości do starożytnej epoki, z jaką uwagą i ciekawością śledzili wszystkie szczegóły dramatu. Nie ulega wątpliwości, że wszyscy, którzy widzieli historię Józefa, przedstawioną przez naszych uczniów, nigdy jej nie zapomną. Doskonały ten środek utrwalenia dziejów biblijnych w pamięci neofitów, przypomina całkowicie średniowieczne misterye.

L. H.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE Z MISSYJ.

Europa. — Albania. O. Dominik Pasi, przełożony missyi albańskich, pisze do nas ze Skutari w dniu 29 grudnia 1893 r.:

»Przed kilkunastu dniami powróciłem z wycieczki missyjnej czteromiesięcznej w archidiecezyi Skopijskiej i diecezyi Pulatńskiej. Po świętach Trzech Króli znowu wyjeżdżam z drugim missjonarzem O. Serecci i dwoma katechetami, którzy mają za zadanie uprzedzić moje przybycie i przygotować ludność pojedynczych wiosek do słuchania Ewangelii głoszonej przezemnie. W Nikai i Merturi znalazłem niektórych chrześcijan nie umiających się przeżegnać, bardzo wielu wcale nie umiało »Ojcie nasz« i »Zdrowaś«.

»Za przystane koronki, krzyżyki, medaliki, obrazki i inne przedmioty dewocyjne, proszę, podziękuj w moim imieniu i w imieniu tej biednej prześladowanej przez Turków ludności, wszystkim dobrodziejom missyi albańskiej. Niech będą przekonani, że ich ofiary wielką chwałę Bożą sprawią na tutejszej ziemi, opuszczonej duchowo i materialnie...«

Afryka. — Brat Ostrowski, missjonarz z Kaplandu, pisze dnia 5 listopada 1893 r. do Brata Wojciechowskiego ze swego zakonu w Krakowie:

»Serdeczne Bóg zapłać za pamięć o mnie i list nadesłany, który mi wiele ucieszył. U nas wszystko dotąd zwykłym idzie trybem; każdy z nas pracuje w swoim zakresie, prosząc Boga, by trudom naszym raczył błogosławić. Między innymi dużo pracy wy-

maga ogród czysto europejski, założony przez nas na afrykańskim gruncie. Mamy już w nim około 60 gatunków jak najlepszych drzewek owocowych, sprowadzonych z Francji, Anglii, a nawet Ameryki i Australii.

»W roku bieżącym zasadziliśmy 2000 nowych drzewek, oraz 2500 sztuk win. Ale niestety, od kilku tygodni panuje tu ciągła posucha, połączona z gwałtownymi wiatrami, tak, że nietylko nie możemy nic siać, ani sadzić, lecz nawet to, cośmy zasadzili z trudnością da się utrzymać przy życiu.

»Chociaż więc mieliśmy zamiar założyć nową plantację drzewek owocowych na pięknym i równym miejscu, teraz jednak z powodu posuchy, nawet marzyć o tem niepodobna i jesteśmy zmuszeni odłożyć to na przyszłość. Jeżeli więc Pan Bóg się nie zlituje, to posucha może zniszczyć całkowicie wszystkie nasze plony, dzisiaj już bowiem na polu schną niedojrzałe jarzyny i zboże, z drzew i krzaków opadają zwiedłe liście, łożyska zaś wielu rzek i strumieni zaczynają wysychać.

»W ostatnich czasach Pan Bóg powołał do siebie jednego z naszych Braci, Tomasza Carry'ego z prowincji Irlandzkiej (Hibernii). Zmarły odznaczał się łagodnym, spokojnym charakterem i przez lat jedenaście pracował w naszej missyi, gdzie miał swej pieczy powierzone strusie. Pomimo troskliwego pielęgnowania ze strony lekarzy, umarł on po długiej i ciężkiej chorobie dnia 4 sierpnia roku bieżącego.

»W przeciągu ostatnich trzech tygodni bawił tu O. Hartmann, który przybył w celu wydania najnowszych swych dzieł w języku *chiswina* (*chisvina*), używanym przez Maszonasów, a mianowicie gramatyki, słownika i małego katechizmu. Jestto kapłan drobnej i wątłej postawy, ale wielkiego ducha. Oby wam Pan Bóg dał takich jak najwięcej! O nim to pewien angikański biskup z krainy Maszona wyraził się w liście do londyńskiego *Czasu* w następujący sposób:

»Jest tu jeden katolicki missjonarz p. A. M. Hartmann, odznaczający się taką samą gorliwością, jaka cechowała św. Franciszka Ksawerego i dwóch naszych angikańskich biskupów, z których jeden został zamordowany przez murzynów, drugi zaś w środkowej Afryce umarł z wycieńczenia«.

»Zasługuje na uwagę, że Anglikanin wymienia najprzód św. Franciszka Ksawerego.

»Przed przybyciem do Dumbrody, O. Hartmann spędził około trzech miesięcy w Capetown i X. biskup tamtejszy tak go polubił, że chciałby na zawsze u siebie zatrzymać, ale zacny ten kapłan, otrzymawszy wezwanie od O. Superiora Missyj, musiał odjechać do Maszonalandu.

»Niektórzy nasi Ojcowie, zajęci są obecnie instalacją w missyi środkowej, która nie małe przedstawia trudności. Bogu dzięki jednak, tak zwana kampania okupacyjna, jakby na przekór swej siostrze kampanii wschodnio-afrykańskiej, która się okazała w Ugandzie tak okrutną dla katolików, zdaje się sprzyjać szczerze katolickim missjonarzom.

»Ogólną uwagę zwraca teraz tutaj niezwykle naprężenie stosunków pomiędzy Anglikami a Matabelami. Z powodu tego zatargu O. Kerr dotąd jeszcze nie mógł przybyć do missyi, niedawno zaś temu pisał do naszego magistra Moreau, że lada dzień możemy się znaleźć na łasce lub nielasce Matabelów. Obiegają nawet pogłoski, że już kilka razy pomiędzy dzikim tym ludem a Anglikami przyszło do walki, w której obie strony straciły po kilkuset ludzi.

»Wreszcie w ubiegły piątek nadeszły telegramy do redakcji tutejszych gazet, z których się dowiadujemy, że w ostatniej potyczce wojsko matabelskie odniosło porażkę, a jego królewska mość Lo-Bengula, musiał ratować się ucieczką. Nazajutrz rano wojsko kampanii angielskiej, nie widząc dokola nieprzyjaciela, wyruszyło dalej i doszło aż do Buluwajo, stolicy kraju Matabelów, którą zajęło bez wystrzału.

— Gdzie król Lo-Bengula? — zapytują Anglicy mieszkańców, którzy im żadnego nie stawili oporu i otrzymują odpowiedź, że wraz ze swą *impi* czyli armią uciekł do miejscowości odległej o 140 mil od angielskiego obozu. Bądź co bądź chociaż Anglicy są w obecnej chwili panami położenia, zdaje się jednak, że na tem jeszcze nie koniec, ponieważ kompania angielska zaczyna ściągać wojsko z Europy.

»Należy wiedzieć, że istnieją tutaj aż cztery kategorie wojska, a mianowicie tak zwana policja (*Police*), należąca do kompanii okupacyjnej, wojsko kolonialne, policja należąca do prowincyj i wojsko cesarskie (*Imperial troops*). To ostatnie w środkowych prowincjach Zambezy posiada odrębny niż gdzieindziej uniform i nosi nazwę *British-Betchuan-Protectorate-Police*, aby Europa nie szemrała na niesprawiedliwe postępowanie Anglików z podległymi sobie książętami.

»Jakie są powody zatargu pomiędzy Lo-Bengulą a kompanią angielską, tego dotychczas orzec niepodobna. To tylko nie ulega wątpliwości, że jeżeli ostatecznie zwyciężą Anglicy, wówczas missya nasza zdobędzie pewną rękomię pomyślnego dalszego rozwoju swojej działalności. Jeżeli zaś zwycięstwo przechyli się na stronę Mata-belów, w takim razie nastąpi niechybnie okropna rzeź białych, oraz podległych im murzynów, o założeniu więc nowej stacji missyjnej wcale, lub przynajmniej przez czas długi nie będzie już mowy.

»Pozdrawiam serdecznie wszystkich Wielebnych Ojców i kochanych Braci, prosząc nadal o pamięć w modlitwie. Brat Żużek łączy też pozdrowienie. Sługa w Chrystusie

Br. Franciszek Ostrowski.

Cudowny prąd religijny w Wiktorii - Nyanzie. — Podług listu O. Streicher'a, ilość katechumenów w missyi Buddu tak dalece się zwiększyła, że czcigodny X. Wikaryusz apostolski nie chcąc, aby missyonarze przeciążali się pracą nad siły, musiał ograniczyć ilość osób przyjmowanych do katechumenatu.

Podczas ostatniej wizyty pasterskiej X. biskup Hirth znalazłszy około 2500 katechumenów, zalecił, aby na poranne lekcje katechizmu uczęszczało nie więcej jak 300 osób co sześć tygodni zaś missyonarze mają chrzcić około 100 krajowców najlepiej oświeconych w wierze. Następnie missyonarze musieli zawiadomić o tem swych katechumenów, pocieszając ich nadzieją, że chociaż nie odrazu, ale stopniowo przygotowują wszystkich do Chrztu świętego.

Oby za łaską Bożą wzrost missyjnego personalu pozwolił X. biskupowi Hirth'owi cofnąć smutne to postanowienie i przyjmować na naukę religii wszystkich tych, co tak gorąco jej pragną!

Ameryka. — Ekwador. — Podróż wśród wulkanów. Z listu O. F. Gonzalez'a z zakonu św. Augustyna, missyonarza w Ekwadorze, przytaczamy co następuje:

»W ostatnich czasach zdołaliśmy dotrzeć po raz pierwszy do wulkanu Piczyncza (*Pichincha*), leżącego w górach, okalających Kwito (*Quito*), na wysokości 4.700 metrów po nad poziomem morza. W wyprawie tej oprócz mnie wziął udział O. Iglesias, oraz trzej inni Ojcowie, jak również pewien pułkownik piechoty i komendant z marynarki. Jechaliśmy wszyscy konno niemal bez chwili wytchnienia, aby jeszcze przed nocą przybyć do podnóża wulkanu, gdzie zamierzaliśmy rozłożyć się obozem.

»Nazajutrz o świcie posiliwszy się nieco, zaczęliśmy z nie-małą trudnością wdrapywać się po stoku góry, pokrytej śniegiem aż do samego krateru. Im bardziej posuwaliśmy się naprzód, tem więcej dawało nam się uczuwać przenikliwe zimno, wraz z nader niemiłym zapachem siarki.

»Na szczycie Piczynczy wspaniały widok przedstawił się naszym oczom. Stanęliśmy po nad kraterem wulkanu, pokrytym ka-walkami czarnych żużli, lawy i rozmaitych minerałów, w głębi zaś,

wśród gęstych obłoków dymu, migotał groźnie ogień, wydobywający się jakby z ust jakiegoś legendowego olbrzyma.

»Pomimo wielkiego znużenia, przez czas długi nie myśleliśmy o wypoczynku, tak dalece wspaniały a nieznanany nam dotąd widok pochłonał naszą uwagę. Gdy zaś rzuciliśmy okiem dokoła siebie, wówczas również nieporównana i zachwycająca roztoczyła się przed nami panorama. U podnóża widać było kilka miast i wiosek, dokoła zaś piętrzyły się góry i wulkany Ekwadoru i Kolumbii, pokryte białym całunem śniegu. Niektóre z tych wulkanów są dotąd jeszcze czynne, inne oddawna już zagasły.

»Niestety, niepodobna było spuścić się do wnętrza krateru; nasyciwszy więc wzrok majestatycznym widokiem, uznaliśmy jednogłośnie, że nie pozostaje nam nic innego do zrobienia, jak wyruszyć z powrotem, tembardziej, że niektórzy z nas z powodu silnego zapachu siarki i wyniosłości miejsca, na którym znajdowaliśmy się, zaczęli doznawać zawrotu głowy.

»Najbliższym celem naszej podróży był Guayaquil, gdzie w przeciągu trzech dni odpoczywaliśmy po trudach podróży, przygotowując się zarazem do nowych niewygód.

»Z Guayaquilu popłynęliśmy na pokładzie parowca łóżykiem rzeki tegoż nazwiska, napotykając tu i owdzie żarłoczne kaimany, czyli amerykańskie krokodyle, których długość niekiedy do 6 metrów dochodzi. Po obu brzegach rzeki ciągnęły się plantacje kakao, *mate*, to jest paragwajskiej herbaty i trzciny cukrowej. Wreszcie wieczorem statek nasz przybył do Babahoyos, gdzie zatrzymaliśmy się na nocleg. Nazajutrz rano musieliśmy dosiąść koni, aby móżdż dalszą odbywać podróż, ponieważ zaś nasze habity nie bardzo dla jazdy konnej okazały się odpowiednie, musieliśmy więc przywdziać bluzy i spodnie z szarego płótna, szerokie słomiane kapelusze, buty z ostrogami, oraz południowo-amerykańskie *poncho* ¹⁾.

»Podróż ta nader niemiłe zapisała mi się w pamięci, gdyż z powodu braku przyzwyczajenia do konnej jazdy, czułem się okropnie zmęczony. Ponieważ zaś gorąco wcale nie źle nam dokuczało, z prawdziwą więc radością zatrzymaliśmy się na popas w Guernice.

»Zaledwie jednak zsiadliśmy z koni, gdy mnie wraz z Ojcem Iglesias wezwali krajowcy do pobliskiej osady, w celu wypowiedania dwóch umierających, parafia bowiem, do której należą, odległą jest ztamtąd o 9 mil drogi.

»Z powrotem do Guernicy, nie znaleźliśmy już naszych towarzyszy i dowiedzieliśmy się, że wraz z przewodnikami w dalszą puścili się drogę. Nie pozostawało więc nam nic innego, jak pójść za ich przykładem, po kilku zaś godzinach jazdy o szóstej popołudniu dotarliśmy do Pisagua, gdzie nasi zbiegowie już nas oczekiwali. Ponieważ od samego rana nie mieliśmy nic w ustach, pierwszą więc naszą czynnością było przyrządzenie obiadu, na który zaprosiliśmy również rodzinę indyjską, która nam w swojej chacie udzieliła schronienia. Nawzajem pocziwi krajowcy ofiarowali nam sporą misę ulubionej swej *chichy*, to jest napoju wyrabianego z kukurudzy, jęczmienia lub pewnego gatunku tutejszego zboża, zwanego *morochu*. W przeciągu kilku dni następnych odbywaliśmy dalszą podróż w pośród gór i lasów, zamieszkiwanych przez dzikie zwierzęta lub jadowite płazy, ale Bogu dzięki bez żadnego wypadku zdołaliśmy dotrzeć do domu.

»Teraz już życie nasze wróciło do zwykłego trybu. Zapelnia je ciągła praca i nauka dzieci, kształcących się w naszej missyi Santa Ana da Zamore. Jeżeli zaś niekiedy missyonarskie trudy wy-czerpią chwilowo nasze siły, to sownie nas za nie wynagradza myśl, że pracujemy dla chwały Pana Boga».

¹⁾ *Poncho* (Poncho) jestto czworokątny kawał tkaniny z otworem w pośrodku dla wsunięcia głowy, noszony w niektórych krajach południowej Ameryki w celu zabezpieczenia się od deszczu.